№ 6. Warszawa, dnia 5 Lutego (24 Stycznia) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ; Błędne koła II, p. A. S. — Henryk Tomasz Buckle, I. — Ona, powieść Wł. Okońskiego. (dokończenie). — Tajemnice duszy p. Feliksa Bogackiego (dalszy ciąg). — Bolesław Chrobry pod piórem Dytmara p. A. G. Bema (dalszy ciąg). — Leopolitana przez Juniusa. — Stiller Bankerott II, p. Jana Finkelhausa — Urwany Akord (wiersz). — Stuła (wiersz). — Piśmiennictwo Polskie: Włościanie u nas i gdzieindziej p. Wł. Smoleńskiego. — Liberum Veto . — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Od redakcyi. — Ogłoszenia.

BŁĘDNE KOŁA.

II.

Między położeniem Galicyi a Poznańskiego zachodzi niewątpliwie olbrzymia różnica, wynikająca bądź z ustroju dwu mocarstw, w których skład prowincye te wchodzą, bądź ze stosunku liczebnego żywiołów politycznych, bądź wreszcie z ich siły. Podczas gdy Prusy dążą do zgładzenia wszelkich odrębności i przygniatają polaków całym ciężarem germanizmu, różnoplemienna Austrya pozwala swym częściom rozwijać się do pewnego stopnia samodzielnie i nie wywiera na każdą z nich siłą innych niszczącego nacisku. W Prusach organizacya państwa, ześrodkowywująca wszystkie jego ruchy w jednem ognisku i gwałtownie ujednostajniająca naturę jego pierwiastków, druzgocze, rozgryza i przetrawia wszystkie pierwiastki innorodne, przerabiając je na teutońską papkę, którą się żywi ich nienasycony żołądek; w Austryi znowu najróżnorodniejsze ludy istnieją obok siebie, i żaden z nich nie ma tyle mocy, ażeby zdołał pochłonąć inne. Tam kilka milionów jednej narodowości musi toczyć rozpaczliwą walkę z kilkudziesięcioma drugiej; tu znowu każda grupa rozprawia się z równą jej tą lub ową, ale nigdy ze wszystkiemi razem, a przynajmniej nieskojarzonemi zupełną wspólnością środków i celów. Tam nowy, silny, o potężnych trybach i kołach młyn, który wszystko ściera na jedną mąkę; tu stary, rozluzowany w swym mechanizmie klekot, którego kamienie mogą co najwyżej obłuskiwać przelatujące między nimi ziarna.

Mimo tej jednak przepaścistej różnicy, Galicya również kręci się w błędnem kole, przedstawiającem wiele podobieństwa z warunkami życia poznańczyków. I ona także broni swej narodowości przed germanizmem, i ona walczy za prawa swojskiego języka, i ona rozpala namiętności religijne, i ona wreszcie zawiązuje przymierza ze stronnictwami, przeciwstawiającemi się biegowi cywilizacyi. Odpowiednio do mniejszego natężenia ucisku i odpór jej jest naturalnie mniejszym. Galicya nie potrzebuje upominać się o mowę polską w szkołach i sądach, o instytucye samorządne, o uniwersytety, bo wszystko to posiada; pozostają jej tylko rozmaite dopełnienia autonomii i nieusunięte resztki dawnego systematu prześladowczego, a nadto odparowywanie zamachów rzeszy centralistycznej, która, usunięta od wszechwładnej gospodarki, usiłuje odzyskać wydarty ster i skierować nawę państwa do bismarkowskiego portu. Chociaż stronnictwo to nie jest, jak w Prusach, olbrzymiem boa, w którego otwartą gardziel wpadają drobne wiewiórki, umie ono przecież swem jadowitem żądłem zadawać tak szkodliwe rany, że nieustanna baczność na jego pełzanie i skręty staje się warunkiem bezpieczeństwa Galicyi. Szczególną fatalnością losu i tu, jak w Poznańskiem, podał polakom przyjacielską rękę żywioł najwsteczniejszy, tak zwane *stronnictwo prawa*. Spotykając po raz drugi ten stosunek, musimy się nad nim nieco zastanowić. Odbieglibyśmy daleko od prawdy, gdybyśmy za przykładem apostołów naszego lub wreszcie europejskiego klerykalizmu w jego istocie i zasadach upatrzyli bezwzględną sprawiedliwość i wynikające z niej popieranie interesów polskich. Bynajmniej. Wyrażając się językiem geologicznym — formacya klerykalno-arystokratyczna w całym świecie ustępuje miejsca wolnomyślno-demokratycznej, dla wzmocnienia więc swych sił przyczepia się mechanicznie do wszystkich narodów i społecznych grup prześladowanych. Trudno bez grubego złudzenia przypuścić, ażeby *stronnictwo środka* w Niemczech lub *stronnictwo prawa* w Austryi, ażeby te grupy, w rdzeniu swojem czysto germańskie, przez zacność lub miłość osłaniały swemi skrzydłami arkę narodowości polskiej. Nie dławią jej, bo muszą strzedz własnego życia, bo również ulegają w niszczącej walce o byt, bo za tę wstrzemięźliwość i łaskę sprzymierzeńcy wypłacają im się nieraz skuteczną usługą. Dziś, gdy katolicyzm (w znaczeniu polityczno-społecznem) jest prawie wszędzie żywiołem albo zwyciężonym, albo uwikłanym w niebezpieczną walkę, węzły swojej sympatyi dla nas zacieśnił bardziej niż kiedykolwiek. Wypędzeni z Francyi mnisi, prześladowani w Prusach księża, napastowani w Austryi feodałowie — są najżarliwszymi na obczyźnie przyjaciołmi polaków, z którymi ich łączy tylko wspólność wiary. Sądźmy wszakże po ludzku. Gdybyśmy uczucia zbadali u źródła, może każde straciłoby swą idealną nazwę. Więc i w tym wypadku, niezależnie od pobudek, pod których natchnieniem klerykalizm obdarza naszych rodaków czułymi uściskami, przyznać trzeba, że on wspierał ich i wspiera istotną pomocą. Kij, chociaż jest tylko kijem, może napadniętemu uratować życie, a gdyby nawet osieł podał tonącemu swój ogon, zasłużyłby sobie na jego wdzięczność.

Uznając wszakże praktyczną użyteczność związku galicyan z austryackimi feodałami, musimy jednocześnie zaznaczyć ujemny jego wynik. Mianowicie, przymierze to wciąga polaków w ruch cywilizacyjnie wsteczny. Koło polskie w Wiedniu dla zyskania usług stronnictwa feodalno-klerykalnego w sprawach samorządu — musi stawać pod jego chorągwią w innych, cofających lub tamujących nietylko rozwój państwa, ale nawet własnego społeczeństwa. I Galicya zatem pozornie stoi na rozdrożu między wynaradawiającym postępem i dziczejącą narodowością. Obie

drogi niebezpieczne, gdyż na końcu każdej zdaje się grozić narodowi śmierć niechybna. Mówimy: pozornie — zdaje się... To bowiem nieszczęsne rozdroże, które tak złowrogo zarysowało się w Poznańskiem i które zniknąć może tylko pod siłą nie niebieskiego ale ziemskiego cudu, w Galicyi jest raczej wytworem ciasnej polityki niż rzeczywistą koleją życia. Zarysowane wyżej, daleko pomyślniejsze warunki istnienia polaków w Austryi pozwalają im na bardzo śmiały postęp bez obawy utracenia w tym ruchu znamion narodowych. Nie zapominajmy, że Galicya posiada ułomną nieco, ale w każdym razie autonomię, polskie szkoły, dwa uniwersytety, krajowe sądy—słowem najrozmaitsze organa, ubezpieczające ją od germanizacyi. Czy przy takich środkach potrzeba stać nieruchomie i można podążać naprzód? Owszem, zdawałoby się nawet, że, jeśli gdzie plemię polskie rozróść się i zakwitnąć powinno, to tylko pod panowaniem austryackiem. A jednakże widzimy obraz wprost przeciwny. Z trzech części dawnej Polski Galicya pod każdym niemal względem upadła najniżej. Na kartach jej współczesnych dziejów albo nie zapisuje się nic żywotnego, albo takie wypadki, nad którymi Jeremiasz polski rozpłakać się musi serdecznym żalem. Gdy na galicyjskiem niebie zajaśniała jutrznia szczęśliwszej doli, miliony załzawionych oczu zwróciły się do niej z tęsknotą i nadzieją, że tam narodzi się zbawienie czy odkupienie nieszczęśliwego czy grzesznego narodu. Niestety, znaleziono stajenkę, znaleziono żłobek i jego świadków, ale nie znaleziono messyasza...

Tak więc błędne koło Galicyi przedstawia zupełnie inną postać, niż w Poznańskiem. Tam jest ono koniecznym wirem, tu dobrowolnym tańcem. Potrzebę wyjścia z niego uczuli na chwilę tak zwani secessyoniści polscy w Wiedniu, którzy chcieli przeprowadzić naród naszerszą drogę postępu. Zbrakło im wszakże energii a może nawet planu. Bengalski ogień, puszczony przez Hausnerów i Wolskich, zgasł szybko, pozostawiwszy po sobie tylko nieco swędu niesnasek domowych. Cokolwiek pisze się o świeżo pogrzebanych lub świeżo zamianowanych przewodnikach życia Galicyi, nie ulega wątpliwości, że dotąd nie narodził a co najmniej nie objawił się w niej żaden większy talent polityczny. Widzimy bogatych magnatów, zręcznych karyerowiczów, złotoustych mówców, ale nie widzimy poważnych mężów stanu, ludzi, którzyby umieli wywabić lub wytrącić naród z błędnego koła, zakreślonego mizernym promieniem polityki stańczykowskiej. Półsłówkowe wzmianki upewniają nas, że śród zużytych rupieci dawnego systematu wychowuje się nowy, silniejszy, dalej widzący żywioł, który obiecuje przywrócić zaczadzonemu narodowi zdrowie i siły. Bodajby ta wróżba spełniła się w jak największej mierze. Inaczej wyjałowiony bądź obcem zniszczeniem, bądź własną nieuprawą grunt galicyjski stanie się smutnym nieużytkiem, wydmą polskiej ziemi.

Losy naszego plemienia przedstawiają w wielu względach dziwny widok a w swym obecnym okresie — dziwną zagadkę, która zdaje się przeczyć prawom historyi. Gdy bowiem teorycznie należałoby przypuszczać, że naród rozwijać się będzie w stosunku prostym do niezależności politycznej, dzieje nasze wykazują stosunek odwrotny. Najszczęśliwsza z tej strony Galicya przedstawia najsmutniejszy obraz. Jestże to w historyi objawiające się prawo gazów, które tem większej nabierają sprężystości i siły, im bardziej są ściśnione? Nie. Szukajmy innych przyczyn, zamiast składać pokłony cieniom Machiavella!...

HENRYK TOMASZ BUCKLE.

I.

Dwadzieścia i kilka lat upłynęło od chwili narodzin *Historyi Cywilizacyi Anglii*, zanim ojczyzna wielkiego myśliciela zdobyła się na godny życiorysowy dlań pomnik. Powiedzmy szczerze—nie było to zadanie łatwe nawet dla tak potężnych sił umysłowych, jakiemi rozporządza piśmiennictwo angielskie. Podjął je nareszcie Alfred Henryk Huth w niedawno wydanej, dwutomowej pracy: *The Life and writings of Henry Thomas Buckle*, która ogarnęła całą działalność i życie genialnego badacza. Przez wzgląd na jego naukowe znaczenie i na głęboki wpływ, jaki wywarł na nasze przekonania, odtwórzymy czytelnikom naszym postać Buckla z rysów, zgromadzonych w tej książce.

Henryk Tomasz Buckle urodził się 24 listopada 1821 r. w Lee pod Londynem. Był on jedynakiem (miał dwie siostry) światłego londyńskiego kupca. Wątłego zdrowia, odznaczał się jednak wesołem i żywem usposobieniem, chociaż nie brał nigdy udziału w zwykłych zabawach młodocianych. Jeszcze dzieckiem będąc, czytywał z zapałem: *Tysiąc i jedną noc*, *Don Kichota*, a przedewszystkiem dzieła Szekspira. Piękne te pomniki literatury stanowiły do 18 roku życia nieledwie wyłączny pokarm duchowy młodego Buckla. Dodać należy, że porządnie sylabizować nauczył się dopiero mając lat ośm. Domowy lekarz nie radził obciążać jego umysłu. Najbardziej nęciła go nauka algebry i geometryi. Gdy w 14 roku otrzymał pierwszą nagrodę, ojciec zapytał go, czego sobie za to życzy? „Opuścić szkołę"—odrzekł chłopiec. Ojciec zgodził się. Matka chcąc oderwać go od książki, uczyła go robót na drutach. Buckle przekładał towarzystwo starszych nad zabawy dziecinne, przyczem najchętniej zabierał głos w sprawach religijnych i politycznych. Często rozprawiał z ojcem, który ukończył uniwersytet i od którego przejął zasady torysowskie. Znowu oddano go do szkoły, gdzie ciągle był pierwszym uczniem, chociaż na pozór lekcyi nie odrabiał. Porzuciwszy powtórnie szkołę zaczął skwapliwie czytywać gazety i rozmyślać nad teoryą wolnego handlu. Pewnego dnia tak dalece zapalił się w tej sprawie,

---

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

ONA.

IV.

Mimo silnego postanowienia i zaostrzonej ciekawości, zawahałem się w ostatniej chwili: czy pójść na wieczór do pułkownikowej i poznać tę, która prawdopodobnie była jej „piękną siostrzenicą," czy też uniknąć pokuszenia. Odciągały mnie dwa bardzo ważne względy: z jednej strony obawiałem się, ażeby nieostrożnem słowem nie ugodzić później Bukowskiego i nie przeciąć mojego z nim stosunku, z drugiej — ażeby *ona* nie wydała mi się istotą niegodną jego uniesień. Jeżeli ją poznam, zdołam-że powstrzymać się od uchylenia rąbka zasłony? od rozjaśnienia jego wątpień promieniem radosnej nowiny lub rozdarcia jego marzeń mieczem nielitościwej prawdy? Gdy rozum się waha, ciekawość podsuwa mu zawsze jakiś wybieg do obejścia skrupułów. I ja więc powoli wytłumaczyłem sobie, że obawy moje są płonne a nawet śmieszne: bo i jakąż miałem pewność, że to *ona* właśnie jest siostrzenicą pułkownikowej i że *ją* u niej spotkam? Uspokojony tem przekonaniem, ubrałem się spiesznie i wyszedłem.

Na wszelkie zabawy do Rubowiczowej towarzystwo zbierało się bardzo wcześnie. Spóźniających się gospodyni witała mniej lub więcej ostrym docinkiem. Była już godzina dziesiąta, gdy po długim namyśle przybyłem wreszcie na ulicę Królewską, gdzie Rubowiczowa zajmowała bardzo wytworne mieszkanie.

— Pan przyszedł świece gasić, bo my już po nabożeństwie — rzekła z właściwą sobie rubasznością, z której przebijała się jednak uprzejmość.

— Zdaje mi się, że dopiero kazanie, szanowna pani — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Należy się ono panu — ha?

— Naturalnie.

— Zając w occie — jaki kruchy! No, ja nie mszczę, ale proszę: albo od Rubowiczowej daleko uciekać albo do jej domu zaglądać. Jeśli wam niewygodny moi mebli, albo nie po guście kuchnia, to możecie powiedzieć, ja zmienię.

Pułkownika, która dość czystą zwykle polszczyzną zaczynała rozmowę a dość kulawą kończyła, poczuwszy, że zaplątała się w *ukrainność*, uścisnęła mnie tylko za rękę i odeszła.

Po mężu swoim zatrzymała w spadku dwie niechęci: do szlachty i żydów. Oba te więc żywioły, przynajmniej imiennie, nie wchodziły w skład jej towarzystwa. Rzeczywiście jednak tu i owdzie wyskakiwały z twarzy znamiona typu semickiego lub przedzierały się przez demokratyczną maskę szlacheckie półsłówka. Nie mogło nawet być inaczej tam, gdzie towarzystwo stanowiło arystokracyę duchową. Naród nasz, jako naród, zbyt niedawno żyje, ażeby mógł swe salony ozdabiać gwiazdami, które zaświeciły pod chłopską lub mieszczańską strzechą.

Zebranie tego dnia było niezwyczajnie liczne. Śród obfitego grona strojnych, przeważnie mi nieznanych kobiet (bo przez dom pułkownikowej przepływała niemal co tydzień nowa fala ukraińskich, wołyńskich podolskich i litewskich „rybek"), spostrzegłem znaczny zapas literatów, umiejących korzystać ze „staropolskiej gościnności," kilku młodych malarzów, widzących wszechświat w chudym koniu, dwu aktorów, dopełniających tryumfami na estradzie niedobór w powodzeniach teatralnych, jednego muzyka, zaznajamiającego publiczność salonową z „urywkami" swej niedokończonej jeszcze, ale szerokiej kompozycyi — a obok tego ostatniego, chociaż naj-

że napisał do Roberta Peela list, którego jednak nie miał odwagi wysłać. Tymczasem ojciec zasadził go do pracy w kantorze swoim. Buckle później ze wstrętem wspominał o tej epoce swego życia, chociaż ona w nim rozwinęła zmysł praktyczny.

W 18 roku życia stracił ojca. Odziedziczywszy znaczny majątek, udał się w podróż z matką do Belgii, południowych Niemiec, Szwajcaryi i Włoch. Już wtedy (1840 r.) powziął myśl napisania wielkiego historyozoficznego dzieła. W tym celu zabrał się z zapałem do nauki i literatury krajów, które zwiedzał. Gdziekolwiek zatrzymywał się dłużej, pobierał lekcye języków u miejscowych nauczycieli. Korzystał z każdej sposobności, aby poznać obyczaje i ducha narodów, śród których przebywał. Zadziwiającym był talent jego do języków. Sztuki piękne mało go zajmowały, muzyka wcale, tak, że nawet swojej rodzinie do opery nie towarzyszył. Tą bezwrażliwością podobnym był do Walter-Scotta, Niebuhra, Johnsona, Drydena, Edmunda Burke, Pitta i Foxa.

Podróż po lądzie stałym wywołała w umyśle jego znaczne zmiany; pedantyczny anglik zmienił się na wolnomyśliciela, torys—na radykalistę.

Do uniwersytetu wstąpić nie chciał — zakłady szkolne w Anglii przejmowały go odrazą. Natomiast odczytywał skwapliwie wszystko, co mu w rękę wpadło. Lektura jego była pod względem ilości niezmiernie obfita, brakowało w niej jednak ładu.

Wkrótce potem wszystkie siły swe poświęcił badaniu dziejów i literatury średnich wieków. Plan ten przeprowadził z gruntownością i energią, jakie następnie znamionowały całą jego działalność. Celem owych studyów był zamiar napisania historyi municypalnych i reprezentacyjnych żywiołów XV wieku.

W połowie 1843 r. przedsięwziął dłuższą podróż po Niemczech, Austryi i Włoszech. Po powrocie do ojczyzny zaczął rozmyślać nad wyborem zawodu, któryby nie przeszkadzał mu pracować nad nauką. Obrał tedy adwokaturę, przypuszczając, że przynajmniej podczas feryj sądowych będzie mógł swobodnie oddawać się czytaniu. Gdy jednak wątły stan jego zdrowia nie dozwolił urzeczywistnić tych zamiarów, oddał się ostatecznie i wyłącznie ulubionym studyom. Zebrał znaczną bibiotekę, która wkrótce zapełniła cały jego dom. Posiadał on wtedy 22,000 tomów; ponieważ jednak książki, które były mu już niepotrzebne, sprzedawał, po śmierci więc znaleziono tylko 11,000 tomów. Faktem jest, że prawie cały ten zbiór Buckle przeczytał, przecięciowo po trzy tomy dziennie. Czasami jedną odczytywał książkę dwa i trzy razy, co przecież przy wybornej jego pamięci rzadko okazywało się koniecznem.

Główną cechą usposobienia Buckle'a była olbrzymia ambicya; to też drobna próżność nigdy nie zdołała go pobudzić do wydania jakiejkolwiek pracy, którąby musiał w dojrzalszym wieku odwołać. Dlatego też, chociaż sądził, że pierwszy tom *Historyi cywilizacyi Anglii* będzie mógł oddać do druku już w r. 1852, później w 1855 i 1856 r.—wydał go dopiero w 1857 r. Ciągłe czytanie wzbogacało ustawicznie naukowy materyał i rozszerzało widnokrąg jego pracy. Mnożył dowody, źródła i wracał znowu do odczytanych niedawno dzieł. Nieustanna praca silnie podkopała z natury wątłe siły, zwłaszcza że jedyną rozrywką jego była sama przez się utrudzająca gra w szachy.

Roku 1853, dogadzając życzeniom lorda Kintorea, przedstawił Buckle cel i założenie *Historyi cywilizacyi w Anglii*. „Bardzo to trudno w kilku wierszach jasno przedstawić tak rozległy przedmiot. Powiedzieć jednak mogę, że dawno przyszedłem do przekonania, iż rozwój każdego narodu podlega pewnym zasadom, które zwykle nazywamy prawami, a są one równie konieczne, jak w świecie fizycznym. Przedsiewziąłem prawa te odkryć. W tym celu zamierzam ogarnąć ogólnem spojrzeniem moralne, umysłowe i prawodawcze właściwości wielkich państw europejskich i mam nadzieję, że zdołam skreślić warunki, śród których owe właściwości powstały. Wszystko to doprowadzi do poznania, że między pojedyńczemi fazami stopniowego rozwoju każdego narodu istnieją łączące je nici. Zamierzam te wzajemne ogólne stosunki zastosować w sposób szczególny i przy pomocy dokładnego rozbioru dziejów Anglii wykazać, jak one regulowały naszą cywilizacyę i jak stopniowo wytworzone a pozornie dowolne formy naszych praw, obyczajów i naszej literatury wysnuły się logicznie z poprzednich. Oto jest plan mego dzieła, którego wartość, jeśli ją zyska, zależeć będzie od sumienności, z jaką plan mój wykonam i od powodzenia mych usiłowań, dążących do wyzwolenia historyi z rąk rocznikarzów, kronikarzów i archeologów.

I pozostał wiernym temu planowi, chociaż nie zdołał go przeprowadzić całkowicie. Z 11 — 20 tomów, w których miał zawrzeć swoje dzieło, wykończył tylko dwa. Pierwszy tom, którego wydanie autor ciągle odwlekał, doznał odrazu życzliwego przyjęcia.

Księga Buckle'a stała się w Londynie przedmiotem rozmów potocznych. Tyle w niej było oryginalności, potęgi myśli, pracy i odwagi, że wszyscy zajęli się osobą autora. Lecz czczony w kołach prywatnych, doznał Buckle nieprzychylności prasy. Rozgłos dzieła przyczynił się do szybkiego rozpowszechnienia. „Gdybym ciemniej pisał — mawiał — wzbudziłbym mniej gniewu". Zarzuty, czynione jego dziełu, obalają się wzajemnie w zestawieniu. Buckle czytał i zbierał wszystkie krytyki, odpowiedział zaś tylko na jedną (w uwadze II tomu), którą wybrał dla tego, że „odznaczała się zdumiewającą niewiadomością". Wielka część zarzutów dotyczyła jego teoryi, że rozwój ludzkości więcej zależy od działania praw rozumowych, niż moralnych. W jednym liście prywatnym zaznacza z tego powodu wyraźnie, że przyznał wyższość pierwiastkom moralnym

---

krzykliwszego gatunku kilkudziesięciu ludzi poważnych, wcale niegłośnych, lecz niemniej stanowiących główny i stały rdzeń towarzystwa Rubowiczowej.

Witając najbliższych znajomych, przeleciałem zaciekawionym wzrokiem po twarzach kobiet, pewien, że zobaczę *ją*, królującą niepodzielnie, otoczoną tłumem wielbicieli. Nie dostrzegłem nigdzie. Nie wierzyłem własnym oczom — przepatrzyłem salon raz drugi, trzeci, może dziesiąty — daremnie. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie niesmaku, gniewu. Jakkolwiek w domu usunąłem skrupuły wyjścia przypuszczeniem, że jej tu nie spotkam, teraz nie tailem przed sobą, że przyszedłem tylko dla niej. Zawód spotęgował moją ciekawość, pod której wpływem zapomniałem o Henryku; zdawało mi się, że jej poszukuję dla siebie, dla zadowolenia pragnień własnego serca.

Zły, niezadowolony, usiadłem w kącie salonu, bez chęci przyjmowania udziału w żywo toczącej się rozmowie o jakimś olbrzymim zapisie dla chłopów. Nie zauważyłem nawet, że obok mnie znalazł się znajomy lekarz, daleki krewny Rubowiczowej, jeden z najprzyjemniejszych jej gości — p. Grzywacz.

— Chyba my musimy odmłodnieć—rzekł przyjacielsko — kiedy tacy jak pan się starzeją. Co to, chory pan jesteś?

Zagadnięty niespodzianie, osłoniłem się wymówką:

— Towarzystwo mi nieznane.

— Tem lepiej—zaśmiał się Grzywacz—większe zajęcie budzi. Masz pan dziś bardzo obfity wianuszek pięknych kobiet. Już to pułkownika umie wynajdywać róże. Co prawda, posiada ona tyle ładnych kuzynek, że mogłaby ich wdziękami natchnąć cały batalion poetów. Panny, wdowy, rozwódki, mężatki — co kto lubi. A już taka dobra rasa, że jedna w drugą jak łania.

— Czy ich mężowie również jak—jelenie?

Lekarz, który lubił swobodne a nawet rubaszne żarty, zaśmiał się głośno.

— I to się zdarzało, ale pozrzucali rogi i uciekli. Trudno, mój kochany panie: kobiety są oszczędne — część serca zostawiają mężom, jedną lub dwie komórki odnajmują kochankom. Chociaż między kuzynkami pułkownikowej jest tu taka, która własnemu mężowi nie pozwoliła przestąpić nawet progu swego serca i trzyma je dotąd niezajętem.

— Cóż mąż?

— Sprobowawszy różnych kluczów i wytrychów, odał za wygranę i rozwiódł się.

— Która to, jeśli wolno spytać?

Grzywacz spojrzał po salonie i rzekł:

— Nie ma jej, musiała w tej chwili wyjść do drugiego pokoju; siedziała tam, pod lustrem. Rzadkie licho—i staremu nieraz w głowie zakręci. Piękna, że odżegnać się od niej nie można. Czyta ciągle, marzy, rwie się do rozmaitych przedsięwzięć, zakłada szkółki, leczy, rozrzuca pieniądze, wspiera biednych i próżniaków, wzlatuje, uniesiona jakąś myślą i znowu spada złamana zniechęceniem—a w tem wszystkiem marnieje. Jest to, cudowna, więdnąca kamelia, nieszczęśliwsza od najszczęśliwszej rzodkiewki, którą ten lub ów wyrwie i ze smakiem spożyje. Jakaś błędna gwiazda, wytrącona z kolei.

Wymawiając te słowa, Grzywacz, zwykle odwracający ludzi śmieszną stroną, przeszedł w ton poważny. Słuchałem go uważnie, bo zdawało mi się, że mówi o *niej*. Odsunąłem jednak tę myśl, strzegąc się pomyłki.

— Teraz znowu ogarnęła ją chęć badania obyczajów zwierząt — mówił dalej. Nie jest to potrzeba wiedzy, ale przechodni smak, a raczej niesmak do ludzi. Zdawało by się, że ta kobieta przepędza życie w miłostkach, a ona nikogo jeszcze prawdziwie nie kochała. Od czasu do czasu, jak gdyby na przekór logice, zajmuje się jakimś trutniem, walczy o niego, obsypuje go łaskami. Rzecz dziwna, im niższy gatunek ludzki, tem silniej ona się do niego przywiązuje. Warto ją poznać. No, ale nie będę pana dłużej zajmował bajaniem, bo panny

dla osobnika, a zaprzeczył tylko ich ważności ze względu na ustrój społeczeństwa. „Co w fakcie pojedyńczym jest przyczyną najwyższą, to w ich wielości okazuje się tylko najbliższą; nauka zaś ma za zadanie odkrywać przyczyny najdalsze, robić uogólnienia najwyższe.... Jeśli kogo popchnę na pana tak, że zostaniesz zabitym, to popchnięty będzie wprawdzie przyczyną bezpośrednią, ale właściwą będę ja. Rzeczywiście ocaliłbyś pan swe życie, uniknąwszy popchniętego, ale ze względu na prawo karne, trzymałbyś się pan przyczyny dalszej i pociągnąłbyś do odpowiedzialności tego, co popchnął. Nauka właśnie musi zawsze wznosić się od przyczyn najbliższych do najdalszych, kiedy przeciwnie, w praktyce, osobnik najczęściej uwzględnia przyczyny najbliższe. Ta sprzeczność pomiędzy nauką a praktyką lub sztuką jest podstawą wielu moich wywodów“.

Z pozostałych po Bucklu papierów okazuje się, że wielce go zajmował wpływ kobiet na postęp wiedzy ludzkiej. Gdy go zaproszono do grona prelegentów w Royal Institution, wybrał właśnie ten temat. Pomiędzy innemi chciał dowieść, że dzielni ludzie mieli dzielne matki i że ród człowieczy wiele traci na zaniedbanem wychowaniu kobiet. Czuł on, jak pomyślnym był wpływ matki na jego własny rozwój. Oczekiwano wykładu z nadzwyczajną niecierpliwością. Odbył on się 19 marca 1858 r. z powodzeniem nadzwyczajnem. Poznano Buckla z nowej strony — jako znakomitego mówcę. Nie tail, że ten tryumf sprawił mu wiele zadowolnienia. Faraday, Owen i Murchison dziękowali mu osobiście za wielką przyjemność, której doznali na odczycie. Otrzymał wiele listów z powinszowaniami i żądaniem, aby odczyt ogłosił. Jakoż wydrukował go we *Fraser's Magazine*. Dwa kluby: Athaeneum i ekonomiczno-polityczny wybrały go na członka „uznając jego znaczenie w literaturze“.

Już podczas wstępnych badań zebrał Buckle większą część materyału do drugiego tomu *Historyi*. W połowie r. 1857, pokrzepiwszy swoje zdrowie podróżą po Anglii, przystąpił do pisania drugiej części. Ale studya nie sprawiały mu już tego, co dawniej, zadowolnienia: rzucała na nie posępny cień coraz bardziej wzmagająca się choroba matki. Pani Buckle więdła szybko, a to znowu podkopywało zdrowie jej syna. Dla odwrócenia dręczących myśli, przyjmował on często zaproszenia na obiady. Zacna staruszka, która nie pragnęła niczego, tylko dożyć sławy swego Henryka Tomasza, umarła 1 kwietnia 1859. Syn przypisał matce tom II. Ogarnęła go straszna rozpacz, z której nie zdołał już nigdy się otrząsnąć.

W tym czasie wyszła rozprawa Milla *O wolności*. Buckle z tego powodu skreślił umysłowy wizerunek autora. Wyborna ta praca ukazała się w maju 1859 r. we *Fraser's Magazine*. Zawiera ona świetną wycieczkę przeciwko sędziemu sir John Coleridge'owi. W dziełku Milla znajduje się następująca faktyczna wzmianka: „W r. 1859, w hrabstwie Cornwallis pewien nieszczęśliwy człowiek, który pod każdym względem wiódł życie nieposzlakowane, został skazany na 21 miesięcy więzienia za to, że wyrzekł kilka słów bluźniących chrześcijaństwu i napisał je na bramie“. Ze względu na panującą w Anglii wolność słowa, Buckle był wielce zdumiony tem doniesieniem Milla, i dopóty się nie uspokoił, dopóki nie zebrał danych, usuwających wszelką wątpliwość co do prawdziwości faktu.

Okazało się, iż rzeczywiście pewien wyrobnik, nazwiskiem Pooley, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, ale nader dziwaczny i nieco obłąkany, który czuł wielką nienawiść do Biblii i chrześcijaństwa, napisał na bramie kilka słów, w których porównał Pismo z chorobą kartofli; nadto kilka razy ustnie znieważył Chrystusa. Współmieszkańcy wsi uważali go za spokojnego waryata, czyn więc jego nie mógł wywołać żadnych szkodliwych następstw. Pomimo to, pewien duchowny zaskarżył go przed sędzią pokoju, a ten, również duchowny, zamiast ulitować się nad nim lub udzielić napomnienie, kazał go zamknąć w areszcie i oddać pod sąd przysięgłych.

W sądzie, któremu przewodniczył John Coleridge, nie dano Pooleyowi obrońcy. Widzowie i sprawozdawcy dziennikarscy zauważyli u oskarżonego dziwne spojrzenia oraz ciągły niepokój; sędziowie jednak nie chcieli widzieć żadnych oznak pomięszania i wbrew angielskim zwyczajom w takich przypadkach, uznali go winnym i skazali na 21 miesięcy więzienia. Wkrótce musiano go przenieść do domu obłąkanych.

Podobny wypadek musiał naturalnie wywołać szlachetne oburzenie Buckle'a, którego energiczna, kochająca sprawiedliwość natura oburzyła się widokiem tej krzywdy. Zamiast milczeć, rzucił się wzorem Voltaire'a do walki za wolność i prawdę. Przyjaciele napadniętego sędziego stanęli wobec dwu dróg: wypadało go uznać albo za niesprawiedliwego, albo za nieudolnego. Ponieważ Buckle nie przypuszczał, aby Coleridge chciał tłómaczyć swój postępek nieudolnością i nieznajomością rzeczy, ogłosił więc skazanie Pooleya za niesprawiedliwość, okrucieństwo, „za wielką zbrodnię“ i przedstawiał „obwinionego“ t. j. sędziego, jako „wielkiego zbrodniarza“. Utrzymywał, że choćby sędzia nie wiedział, iż Pooley jest obłąkanym, to ukaranie niewinnego pozostałoby okrucieństwem, przestępstwem, gdyż dowodziłoby nietolerancyi religijnej, sprzecznej ze współczesnym duchem Anglii, dawałoby wreszcie fanatykom zły przykład.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

II.

Zazwyczaj widzimy tylko czynności człowieka, tylko jego ruchy, tego zaś, co zachodzi w nim samym, co jest bezpośrednią i konieczną przyczyną owych ruchów i czy-

spoglądają na mnie z wyrzutem. Do widzenia.

Przeszedłem się po salonie, do którego przytykał mniejszy, słabiej oświetlony, gdzie siedziało kilka osób, prowadzących z sobą cichą rozmowę. Zajrzawszy z poza uchylonej portyery—drgnąłem jak uderzony: na małej sofce, obok młodego mężczyzny, siedziała *ona*. Jej głębokie, dziwnie przejmujące oczy spoczęły na mnie z taką mocą, że niemal uczułem ich dotknięcie. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Spostrzegłszy tuż przy drzwiach znajomego mi ojca pułkownikowej, który samotnie drzemał, usiadłem obok niego. Staruszek przywitał mnie życzliwie, i rad, że złapał kogoś do gawędki, zaczął po raz setny opowiadać dobroczynne skutki Marienbadu. Ja tymczasem łowiłem chciwie każde słowo, które z jej ust głośniej się odzywało.

— Może masz pan słuszność — mówiła ona — że rozumem kobiety jest miłość. Ale nawet pod groźbą nierozumu kochać nie umiem ludzi. Pan to nazwiesz kalectwem, a ja doświadczeniem. Byłam już żoną. Człowiek jest z bliska istotą bardzo szpetną, szpetniejszą, niż zwierzę, bo ono nas pozorami nie łudzi i do marzeń nie pobudza.

— Pozostaje więc pani tylko — rzekł gorzko młody mężczyzna — przypatrywać się jedynie własnej piękności.

— Nie byłoby to tak niedorzecznem, jak pan przypuszczasz, gdyż tylko o sobie nie mam żadnych złudzeń, a więc nie doznaję żadnych rozczarowań.

— Szkoda, że z filozofii zrobiłaś pani tylko sztukę obrzydzania sobie życia.

— I upiększania — dodała pospiesznie. Czy pan sądzisz, że odmówiwszy panu ręki, nie oddaję jej nikomu? Śni mi się codzień mój kochanek.

— Poślubij więc pani widmo.

— Jestem już dawno z niem zamężną.

Młody człowiek ukłonił się wstał i odszedł. Rozmowa ta wywarła na mnie głębokie wrażenie. Zdawało mi się, że słowa jej splatają się harmonijnie z marzeniami Henryka, że nie słysząc się wzajemnie, dwie te dziwnie pokrewne dusze tworzą miłosny duet. Czemu on szalony jej unika? Jak gdyby odgadując to pytanie, *ona* spojrzała na mnie smutnie i badawczo.

Nagle z salonu wpadła Rubowiczowa.

— Pan tu—zawołała—sądziłam, żeś pan uszedł. A! obiecałam panu...

Wzięła mnie za rękę i przedstawiając nieznajomej rzekła.

— Pan Okoński, złowiony uciekinier, moja kuzynka, pani...

Tu wymówiła nazwisko.

Nie chcąc ważąc waszej ciekawości zadawalniać zmyślonem imieniem a jednocześnie chcąc uszanować tajemnicę mojego przyjaciela, nazwiska tego nie powtórzę.

. . . .

W dwa dni potem przechodziłem ulicą Królewską. Przed mieszkaniem Rubowiczowej spotkałem Bukowskiego. Zaledwie przywitaliśmy się, tuż około nas stanął powóz, z którego wysiadła *ona*. Ukłoniłem się jej — Bukowski zbladł i spojrzał na mnie niespokojny. Gdy weszła do bramy, nie mogąc powstrzymać gwałtownie cisnących się słów, zawołałem:

— Henryku, *ona* jest...

— Niegodziwy! krzyknął Bukowski.

Zamilkłem — on posępny odszedł.

Od tego dnia unika mnie starannie. Widuję go często zgnębionego. Zamiera powoli. Żal mi go serdecznie. Czemuż nie mogę mu powiedzieć chociaż tyle: legenda perska mówi, że Bóg rozkrawał jabłka na dwie połowy i rozrzucał je po świecie; z połówek tych wyrosły pary mężczyzn i kobiet, które do siebie ciągle dążą i wreszcie się łączą; otóż legenda ta, jak wszystkie inne, kłamie, bo zwykle się — nie łączą.

W. Okoński.

nów, ani się domyślamy nawet. Tymczasem każde poruszenie nasze połączone jest koniecznie z całym szeregiem czynności organów wewnętrznych, w których, skutkiem tego, muszą zachodzić pewne, mniej więcej ważne zmiany. Jak wielkim jest ten obszar odruchów, odbywających się w nas pod wpływem wrażeń, można to widzieć z następującej ich klassyfikacyi, podanej przez Pflügera, w której odruchy wykonywane przez pewien jeden jakiś organ ciała, jako zbyt elementarne, nie są uwzględnione.

Bywają odruchy, zachodzące w pewnej jednej całej połowie ciała, prawej lub lewej, zawsze w tej, gdzie nastąpiło nerwowe podrażnienie. Zdarza się jednak, że odruch przenosi się na drugą połowę ciała, a wtedy uczestniczą w nim tylko te mięśnie, które odpowiadają mięśniom pierwszej połowy, to jest połowy, na której poczęły się ruchy pierwszej—te mięśnie, które biorąc rzecz teoretycznie, powinnyby były działać jedynie, gdyby odruch pozostał prostym i nie rozszerzał się na inne mięśnie. Jeżeli podnieta zewnętrzna działa na całą powierzchnię ciała (np. zimno, wiatr, kąpiel), odruch bywa silniejszy z tej strony, z której silniej działa zewnętrzna przyczyna. Można przypuścić (czasowo, póki przypuszczenia nie stwierdzą fakty), że prawie nigdy nie powstają odruchy pierwiastkowe, za dowód czego służyć może następujący fakt. Jeżeli łaskoczemy śpiącemu dziecku nozdrza z prawej strony, drapie je prawą ręką. Jeżeli przytrzymamy mu prawą rękę i łaskoczemy znowu prawe nozdrze, dziecko z początku usiłuje podrapać się ręką prawą, ale nie mogąc tego dokonać, drapie prawą stronę nosa lewą ręką. Zdarza się niekiedy działalność kilku organów z obu stron ciała, dla tego, że wrażenie powstało skutkiem jednoczesnej czynności kilku ośrodków nerwowych pod wpływem działania kilku organów zmysłowych, bądź bezpośrednio podrażnionych, bądź pośrednio jedne przez drugie w ruch wprawionych. Znane są nakoniec szeregi poruszeń odruchowych bezładnych w całym organizmie, np. spazmy, konwulsye i t. p.; tu już pewne wrażenie jest tak potężne, że organizm odpowiada nań całą swą istotą, wszystkimi swymi organami. Weźmy na uwagę dwa zjawiska: płacz i śmiech. Że charakter ich jest refleksyjny, widać to od razu. Trudno wszakże dowodzić, że płacz jest odruchem oczu, dla tego że źródło łez znajduje się w okolicach oczu, albo że śmiech jest funkcyą właściwą gardłu lub gębie. Płacze cały organizm, śmieje się też nie twarz tylko. Padamy ze śmiechu, nogi się nam podginają, doświadczamy też lekkiego spotnienia, uśmiawszy się dobrze. Jeżeli płacz przechodzi w spazmy całego ciała, jeżeli się kończy drgawkami, rzecz oczywista, że jest odruchem całego organizmu na skutek pewnych jakichś wzruszeń. A nawet jeżeli płacz nie przechodzi w dalsze formy spazmów i drgawki, to i w takim razie bywa częstokroć przyczyną obezwładnienia, utraty sił, osłabienia rąk i nóg, mięśni szyi, a najczęściej głębokiego snu.

Znane są powszechnie przykłady osiwienia w przeciągu kilku godzin, omdlenia, konwulsyj, utraty mowy (afazyi), bezwładności tej lub innej części ciała (paralysis), nakoniec pomięszanie zmysłów w mniejszym lub większym stopniu w skutek silnych jakichś wrażeń [1]). Znane są też powszechnie przykłady ludzi, rażonych śmiercią pod wrażeniem bolesnych moralnych ciosów, jakie na nich spadają. Ciekawą w stosunku do badanego przedmiotu rzeczą jest to, że dokonywane w podobnych wypadkach na zmarłych sekcye dowodzą, iż przyczyną fizyologiczną (a właściwie patalogiczną) śmierci były nagłe a rozległe zmiany w wewnętrznych organach, jak mózgu, płucach (rozszerzenie), sercu (hypertrofia), rozkład krwi, polegający na przemianie jej normalnego składu chemicznego (utrata białka) i t. d. Fakty te stwierdzone przy pomocy sekcyi, mogłyby być wywnioskowane na drodze apriorystycznej. Jeżeli bowiem zdarzają się wypadki, że pod wpływem silnych wzruszeń ludzie dostają paraliżu, bywają tknięci niemotą i t. p, to bardzo naturalnie, że zmiany mogły i musiały nastąpić tylko w skutek koniecznych wewnętrznych zboczeń, wewnętrznych procesów patologicznych.

Wszystko to prowadzi nas do przekonania, jak wielkie znaczenie mają odruchy ze stanowiska badań psychologicznych. Jeżeli pewne wrażenie może sprawić w organizmie takie przemiany, jak paraliż, afazya i t. d. pochodzące wskutek silnych, a szczególnie nagłych wstrząśnień, rzecz oczywista, że wrażenie podobne, nie będąc ani nagłe ani zbyt silne, lecz zwykłe, może a nawet musi sprawiać w nim zawsze pewne jakieś zmiany. Zmiany te polegają na zużyciu się pracujących cząstek.

Przechodzimy teraz do nowej grupy zjawisk organicznych, do pracy organizmu ze względu na każdą jego najmniejszą cząstkę — komórkę. Człowiek, pracujący fizycznie, po niejakim czasie doświadcza pragnienia i głodu, czuje znużenie, potrzebuje koniecznie przyjąć posiłek, chce mu się wreszcie spać. Pochodzi to ztąd, iż pracujące cząstki zużyły się, przekształciły i że nastąpiła chwila, kiedy one winny być zastąpione przez nowe, ażeby organ, w skład którego wchodziły, mógł należycie działać dalej. Wycieńczenie podobne następuje nietylko po pracy fizycznej, — umysłowa w podobny sposób wyczerpuje siły fizyczne organizmu. Zużyte części mięśni, mózgu i wszelkich narządów ciała opuszczają organizm w postaci różnych wydzielin, jako to głównie: moczu i kwasu węglanego, — że już przemilczę np. o pocie. O ile twierdzenie to jest słusznem, można powziąć wyobrażenie ze słów Spencera: „Jeżeli dla podtrzymania nerwowej działalności niezbędnem jest, ażeby pewne ciała znajdowały się we krwi, niemniej koniecznem jest także i to, ażeby innych pewnych ciał w niej nie było, albo, mówiąc ściślej, ażeby one były tylko w pewnym niewielkim stosunku (należałoby zdaniem moim dodać jeszcze „normalnym“ stosunku, to jest takim, jaki w stanie zdrowia stwierdza doświadczenie). Szkodliwe te pierwiastki są ciałami, powstającemi wskutek rozkładu wszystkich tkanek, a więc i nerwowej. Najgłówniejsze są kwas węglany i mocz.“ W następstwie znacznego zwiększenia się w organizmie bądź kwasu węglanego, bądź też moczu, bywa śmierć [1]). Zużyte szczątki organizmu opuszczają go w sposób mniej więcej taki, jak spalone w parowym kotle drzewo i zużyta para; ażeby maszyna mogła działać dalej, potrzeba ją we właściwy sposób nakarmić. A jak powiada Claude Bernard „zniszczenie materyi nietylko jest w związku z czynnościami funkcyonowania, ale jest raczej ich *miarą* i *wyrazem* [2]).“ Cząstki organiczne, wprawione przez bodźce zewnętrzne w ruch, jaki towarzyszy wrażeniom i wzruszeniom a także wszystkie te cząstki organizmu, które później, to jest po odebraniu wrażenia albo bezpośrednio uczestniczyły w odruchu, albo pośrednio przyjęły w nim udział — skutkiem dokonanej przez nie pracy w mniejszem lub większem zużywaniu się, ulegają odwrotnej przemianie, to jest rozkładowi, przestają być czem były, stają się ciałami w stosunku do organizmu i wreszcie opuszczają organizm, wracają w postaci najróżnorodniejszych wydzielin napowrót do świata zewnętrznego, uległszy procesowi rozprzężenia się, dyzassymilacyi, wyszedłszy z tego związku, w którym się przed chwilą znajdowały. Bezpośrednio ten wydatek organizmu, albo wreszcie nawet i przemiana tylko cząstek, co jest prawdopodobnem [3]) będące następstwem pracy organicznej są faktem, zasługującym ze wszech miar na naszą uwagę.

1) J Luys'a *Mózg i jego czynności*, polski przekład Warszawa, 1879, str, 74—76; Griesinger, *Choroby duszy* 2-ie wydanie ks. 2-ga, § 98 i 99.

Jakkolwiek pytanie to jest, zdaje się, dość stanowczo rozwiązanem w stosunku do zjawisk, zachodzących we wszystkich tkankach organizmu, a więc i w tkance nerwowej, jednakże ponieważ tu głównie chodzi o te ostatnie i o organ, będący ich ogniskiem—o mózg, muszę się powołać na pewne fakty, świadczące, że i mózg w tym względzie nie stanowi wyjątku. Pracuje on w ten sam sposób, w jaki pracują np. mięśnie. Rozbiór chemiczny moczu, wydzielonego po natężonej pracy umysłowej, stwierdza obecność w nim, i to wilości niezwyczajnie zwiększonej, fosforanów i siarczanów. Osad ten jest materyałem, jaki się otrzymuje z zużytych cząstek mózgu. Pracowały nerwowe komórki, praca ich, ze stanowiska fizyologicznego rozważana, polegała na procesach utleniania; wchodzące w skład tych komórek pierwiastki stanowiące w połączeniu wzajemnem ze sobą ciała organiczne, uległy rozkładowi i jako niepotrzebne opuściły zajmowane przez nie miejsce, a jakeśmy to już widzieli, stały się nietylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe dla organizmu. Gdyby pozostawały w nim nadal, mogłyby spowodować śmierć, jak też często powodują (kwas węglany np.) sen letargiczny.

„Każda cząstka ciała utleniona (to jest spotrzebowana), nie może już odgrywać w organizmie żadnej (dodatniej, odżywczej)

1) *Zasady psychologii*, tom I, cz. 1-sza, r. IV, § 3o czytaj wyd. 2-ie.

2) La destruction matérielle est non-seulement liée à l'activité fonctionelle, on peut dire qu'elle en est *la mesure et l'expression*“. ob. str. 23 jego dzieła *Les Phénomènes de la vie*, tom II-gi, 1879, Paryż.

3) Tamże str. 24. „Zniszczenie organiczne polega na przemianie formy ciał“ i uwagi Maudsleya w *Fizyologii i Patologii duszy*, cz. 1, rozdz. 2.

roli, chyba tylko podrzędną (np. woda jako płyn, sole). Tak mocz, chociaż zawiera w sobie dużo azotu, nie posiada najmniejszej odżywczej dla organizmu wartości [1]."

Te procesy rozkładu, odbywające się zawsze przy podniesionej temperaturze mózgu, zależą od utleniania się jego chemicznych pierwiastków. Na dowód tego może służyć zarówno fakt, że czerwona krew, dochodząca do mózgu, wraca z niego czarna i przesycona kwasem węglanym [2], jakoteż i to, że „praca mózgu jawnie cechuje się podwyższeniem ciepłoty i że mózg, jak czynny mięsień, objawia swą dynamiczną siłę za pomocą ciepła, dostępnego dla fizycznych narzędzi [3]).

Trzy te grupy faktów znane są powszechnie, potrzebowałem je tylko podnieść i ustalić każdą z osobna, ażeby tem możliwsze były dalsze już z nich wnioski. Zobaczmy teraz, do czego prowadzi zestawienie tych faktów obok siebie w jedną całość? Jakie wnioski są koniecznem tego zestawienia następstwem? *F. Bogacki.*

---

[1]) Charles Letourneau, *Biologie*, Paryż, 1877, wydanie 2-ie, str. 493 i 494.

[2]) Luys, *Mózg i jego czynności*, str. 72, odsyłacz 1-szy.

[3]) Tamże, str. 77 i 78. Ciekawe doświadczenia są opisane w Tarchanowa *Psychomotorne centry*, Petersburg, 1879, str. 65—69.

BOLESŁAW CHROBRY.

POD PIÓREM DYTMARA.

IV.

Rok 1016 był dla Henryka II szczęśliwą dobą wypoczynku: bruździł mu wprawdzie w Burgundyi Wilhelm de Poitiers; ale na południu dokonywał żywota zacięty wróg Harduin, a wschodni demon Bolesław, „nic w tej porze" niemcom „nie szkodząc," „umacniał się w domu" (21). W styczniu r. 1017, „cesarz przychyla się do przedstawień uczynionych przez Bolesława", i wyraża nawzajem chęć zawarcia z nim pokoju na słusznych warunkach. Obie strony zamieniają między sobą poselstwa i postanawiają zawieszenie broni (35). Henryk II na załatwienie tej sprawy oczekiwał w Merseburgu. „Arcybiskupi moguncki i magdeburski, biskup halbersztacki z komesami Zygfrydem i Bernardem, innymi oraz panami—przez dni 14 nad rzeką Mildą obozem wciąż wytrwali, Bolesława przez orędowników do przybycia nad Elbę wzywając." Książę polski znajdował się gdzieś w okolicach Głogowa (Scycyani). Odpowiedź, jaką dał posłom („Ani przez most ten nie przejdę!"), zdradzać mogła zarówno dumę Chrobrego, jak nieufność w bezpieczeństwo dla swej osoby, pośród niemieckiego obozu. Cesarz wziął ją za zniewagę, i zrywając układy, powoływał już wiernych tronowi do wojny z „nieprzyjacielem publicznym" (36). W kilka miesięcy później „morawscy walecznicy trzymający stronę Bolesława, otoczyli podstępnie wielki huf bawarów i w pień wysiekli, mszcząc się za szkody przedtem sobie wyrządzone." Rokowanie o pokój z Bolesławem, wznowione przez cesarza, nie doprowadziło do pożądanego rezultatu (42). Mieszko wpadł tymczasem do Czech z dziesięcią rotami, pod nieobecność Udalryka, i z niezliczonem mnóstwem jeńców powrócił do ojczyzny. Cesarz wyruszył na wschód: posiłkowany przez czechów i lutyków, niszcząc wszystko po drodze, stanął pod Głogowem; następnie zwrócił się ku miastu Niemczy,—leżącemu w ziemicy sileńskiej (na Szląsku), pragnąc zapobiedz zajęciu tego punktu przez polaków. Zamiar ten wszelako, podobnie jak i pokusy o wzięcie grodu, na obleganiu którego trzy tygodnie z górą strawiono, nie powiodły się. Współcześnie morawianie obdarli jakieś miasto w ziemi czeskiej, ale Henryk, margrabia bawarski pogromił w odwrocie łupieżców i odbił zdobycz. Walecznicy bolesławowscy kusili się też naprózno o zdobycie Belegori (Biela—Ghora) w Dalemińcach. Podobnego niepowodzenia doznali, śród posiadłości Bolesławowskich, trzymający stronę Henryka II, lutycy. Monarcha niemiecki, nic nie wskórawszy na Szląsku, zbiegł do Czech, gdzie go „nieprawy książę" Udalryk ze czcią należną przyjmował. Bolesław ucieszył się wielce z takiego obrotu spraw wojennych, i radość swą z rycerstwem dzieląc, puścił zastępy na łupiestwo ziem sąsiednich. Wycieczka do Czech nie udała się, ale zamiar uprowadzenia jeńców i spalenia osad w krainie między Elbą a Mildą—został uwieńczony pomyślnym skutkiem. Te ruchy partyzanckie „okrutnego słowianina" nie ułatwiały zapewne powrotu do Saksonii, zwłaszcza że i lutycy, doznawszy zniewagi od niemców, przeciw Henrykowi powstali; Dytmar bowiem wylewając łzy nad klęskami współziomków, powiada: „Niepodobnem już się zdało wejście do kraju czeskiego, ale gorszem daleko było wyjście" (44, 46, 47). Przy schyłku 1017 r. rozpoczęto z inicyatywy (według naszego kronikarza) polskiej—układy o pokój i wymianę jeńców. „Na to wszystko cesarz za usilnem wstawieniem się swych książąt, przyzwolił, a wtenczas poraz pierwszy doszła go wiadomość, że *król rusinów*, jak to mu już przez posła był obiecał, kroki przeciw Bolesławowi rozpoczął, obleglszy jednak któreś z miast jego, nic nie podołał" (48). W dalszym ciągu Dytmar, cofając się w przeszłość, przystępuje do wykładu okoliczności i następstw uwięzienia Świętopełka z żoną i doradcą ich obojga, biskupem kołobrzeskim, Reinbernem. Włodzimierzowi W-mu autor nasz nie sprzyja (52).

Księga VIII. Na czele tej ostatniej księgi swych roczników zaznacza Dytmar dość lakonicznie fakt pierwszorzędnej wagi, który można uważać za ostatnie słowo naszego kronikarza i słup graniczny w dziejach wojny Bolesława z Henrykiem: „W dniu 30 stycznia 1018 r. na rozkaz cesarski i skutkiem usilnego ze strony księcia Bolesława nalegania zaprzysiężono w Budyszynie pokój," warunki jego były nie takie, jakie się godziło, ale jakie w owym czasie uzyskać było podobna." Książę polski dał rękojmię dochowania obietnic w wybranych przez reprezentacyę niemiecką zakładnikach, a następnie pojął w małżeństwo pożądaną oddawna Odę, córkę margrabi Ekkiharda.

Wzmianka o pokoju i ślubach Bolesława służy autorowi za powód do uwag nad obyczajami narodu (polskiego) „który nakształt bydląt strzeżony być musi, a karcony nakształt leniwych osłów." Rozwodząc się w tem jedynem miejscu szerzej choć jednostronnie nad odłamem nienawistnego sobie plemienia, mówi o uświęconym w państwie Bolesława barbarzyńskim systemie karnym, mianowicie o smutnym losie cudzołożników i o „chwalonym" zwyczaju wyrywania zębów za naruszenie wielkiego postu. Z wyjątkiem tych szczegółów, inne prawa bolesławowskie wzgardliwem milczeniem pomija, jako zbyt surowe i „do budzenia jedynie postrachu przydatne." To daje mu sposobność do westchnienia raz jeszcze z głębi serca nad plagą, jaką Bóg zesłał na sasów w osobie przewrotnego Bolesława. Odwraca więc oczy od chwili obecnej, a odgrzebując tradycye pogańsko-mieczysłowskie, wspomina o zwyczaju zabijania żon po śmierci mężów i o barbarzyńskich karach na nierządnice. Obfity w treść i uromaicony rozdział kończy się jaskrawym obrazem bezkarnie broiącej rozpusty, jaką autor już nie w państwie Bolesława, ale dokoła siebie na szerszym widnokręgu ogląda (2). W tymże, 1818 r. zdarzyły się jeszcze, przed skonem Dytmara, dwa godne pamięci wypadki, które Biskup merseburski na ostatnich kartach swej kroniki drżącą ręką uwiecznił: 1) wygnanie przez słowian pomorsko-nadelbiańskich (w miesiącu lutym) księcia obotrytów, Mścisława za to, że lutykom „przed rokiem w wojnie z cesarzem pomocy żadnej nie dał (4); 2) opowieść „o szkodzie żałosnej, jaka w tym czasie Ruś nawiedziła," a więc o ekspedycyi kijowskiej—aż do chwili największego powodzenia, któremu towarzyszy wyprawienie przez Bolesława poselstw z darami do Grecyi i Niemiec (16). Na tem zdarzeniu kruszy się pióro dytmarowe.

(Dokończenie nastąpi).

LEOPOLITANA.

Stała nam się nowina: Autonomia powiła syna!

Synem tym jest — jak wam zkądinąd pewnie wiadomo—nowy nasz krajowy marszałek, krewki burmistrz krakowski, dr. Mikołaj Zyblikiewicz. Od zapisania też faktu tego w niniejszej kronice rozpocząć mi wypada gawędę mą dzisiejszą, — imię bowiem świeżego nominata jest u nas w tej chwili na wszystkich uściech, a wywyższenie jego witają radośnem *Hozanna!* stronnictwa nasze, frakcye i koterye *cujusvis farinae*; — omal żem nie powiedział: wszystkie wojsk niebieskich zastępy!

Mylilibyście się jednak wielce, przypuszczając, że radość owa, tak wyjątkowo ogólna, jest dowodem jednolitości dążeń, ożywiających nasze społeczeństwo, lub też sądząc, że imię dra Zyblikiewicza jest jednym z tych sztandarów, które za sobą porywają masy. Tak nie jest wcale, i świeży nominat nie przerasta jednym włoskiem przeciętnej c. k. galicyjskiej skali, którą mierzyć należy mężów stanu tutejszego autoramentu. Mir swój *dzisiejszy* — kładę nacisk umyślny na to ostatnie słowo — za-

wdzięcza dr. Zyblikiewicz przypadkowi, który go uczynił niejako wspólnym mianownikiem wszystkich etnograficznych i kastowych właściwości naszej dzielnicy. Będąc bowiem z urodzenia mieszczaninem, z chrztu — rusinem, z przekonań—polakiem, z zawodu — palestrantem, z temperamentu—radykałem, owszem nawet, częstokroć — tromtadratą, a z powziętych w swem dotychczasowem publicznem życiu nawyczek — konserwatystą w galicyjskiem, stańczykowskiem tego słowa znaczeniu,— streszcza w sobie nowy nasz marszałek etnograficznie i społecznie całą naszą „szczuplejszą ojczyznę,“ z wyjątkiem jednego tylko chyba żydowskiego żywiołu. Szczęśliwiec ten znajduje się przeto w wygodnem położeniu owego z bajki nietoperza, który, dzięki swej proteuszowej naturze, mógł, stosownie do okoliczności, równem prawem być zaliczony do ptaków, jak i do czworonogów. Tem się też tłomaczy i radość, którą nominacya jego we wszystkich naszych politycznych wywołała obozach;—ptacy bowiem i czworonogowie, czyli mówiąc innemi słowy: polacy i rusini, mieszczaństwo i szlachta, postępowcy i stańczykowska *Camarilla* dopatrują się w proteuszowej postaci nowego marszałka rysów swemu własnemu obliczu pokrewnych i widzą w wywyższeniu świeżego nominata spełnienie własnego programu i tryumf własnej zasady (Obacz w tej mierze odnośne artykuły: *Czasu*, *Gazety narodowej*, *Dziennika polskiego*, *Nowin gal.* — ba nawet — i rusińskiego *Diła!*).

Z humorystycznego punktu widzenia patrząc — a trudno jest na tutejsze sprawy patrzeć inaczej! — nie miałbym zresztą nic do zarzucenia tej tak zadziwiająco zgodnej radości wszystkich galicyjskich świętych, gdyby nasze „wojsk niebieskich zastępy“ nie zapominały w swojem uniesieniu o tem, że obecne zamianowanie krajowego marszałka jest prostym wynikiem wakansu i postanowień obowiązującego u nas krajowego statutu, a zatem niczem innem jak tylko wypełnieniem obowiązku, którego niewypełnienie byłoby ze strony rządu samowolą i bezprawiem. Niestety jednak— i tu się właśnie zaczyna tragika! — zapominają dziś o tem wszystkie nasze stronnictwa bez wyjątku. Owszem nawet, za danem z *Czasu* hasłem dopatrują się one w prostem wykonaniu ustawy jakiegoś nadzwyczajnego dobrodziejstwa, jakiejś szczególniejszej „łaski,“ — i dopatrzywszy się tego, spieszą na wyścigi z podpisywaniem weksli, wystawionych za wdzięczność, którą kiedyś — może! — trzeba będzie zapłacić w monecie zapałów i ofiar—zwykłej w takich wypadkach waluty!

Tu niech mi wolno będzie zrobić uwagę, którą mi nasuwa objaw ten chorobliwy. Jest nią mianowicie to ciekawe, lecz nie mniej prawdziwe spostrzeżenie, iż konstytucyonalizm austryacki, pod którego opiekuńczem skrzydłem dziś żyjemy, nie przyczynia się wcale do pokrzepienia żyjącego w piersi naszej poczucia prawości i sprawiedliwości. Owszem nawet, — im dalej w las, tem więcej drzew; im dłużej żyjemy pod tymi konstytucyjnymi rządami, tem bardziej zanika w umysłach naszego ogółu to poczucie, tak głęboko niegdyś tam zakorzenione, ustępując miejsca jakiejś dziwnej teoryi „o łasce,“ która to teorya, obecnie do szambelańskiego dostrojona klucza, zaczerpniętą jest po części z Biblii a po części z mesyanicznych mrzonek naszych poetów romantycznego okresu. Pomyślcie sobie Męża Czterdzieści i Cztery w postaci c. k. austryackiego hofrata lub feldmarszałka, a będziecie mieli mniej więcej dokładny apolog tej genealogii, a zarazem ostatnie słowo mej myśli. Przyczyną tego dziwnego zaniku poczucia sprawiedliwości w umysłach naszego społeczeństwa jest przedewszystkiem to, że swobody, których tu używamy, czyli tak zw. autonomiczne nasze „koneesye“ oparte są nie na obowiązującej, zasadniczej ustawie, tylko na administracyjnem rozporządzeniu, i należą przeto do rzędu owych dóbr, o których w danym razie można powiedzieć, tak jak Job biblijny: „Pan dał, Pan wziął; niechaj będzie błogosławione imię Pana!“ Przyczyniła się do tego również i działalność Stańczyków, którzy przestali być już dziś narodowem stronnictwem, a stawszy się *de facto* dworską *Camarillą*, każdy akt rządowy wprost z ustawy lub z konieczności wypływający jako dowód nadzwyczajnej „łaski“ rządu tłomaczą, i do tejże „łaski“ jako wyłącznego zródła wszystkie nasze swobody odnoszą. Znajdujemy się więc w tem dziwnem położeniu, iż to, co się u nas *par excellence* konserwatywnem stronnictwem mieni, psowając w umysłach ogółu naszego poczucie prawowitości i sprawiedliwości, wywraca nasze podstawy społeczne i spełnia przeto wprost rewolucyjne dzieło. Wynika ztąd, że konserwatyzm naszych Stańczyków nie jest tem *ce qu'un vain peuple pense*, i że polityka galicyjska nie jest polityką lecz romantyczną poezyą, snującą dalej mesyaniczną przędzę lat dawniejszych, z tą tylko różnicą, iż z przędzy tej wyrabiają się dziś galony do szambelańskich fraków!

Lecz wracam do nowego marszałka. Zapytacie mnie z pewnością czy rząd nasz powodował się istotnie wyższymi jakimiś względami, powierzając marszałkowską laskę d-rowi Zyblikiewiczowi i zrywając tym sposobem z dotychczasową tradycyą, wedle której ster najwyższej naszej autonomicznej władzy powinien zawsze być udziałem dziedziców historycznego nazwiska? Odpowiedzieć na to pytanie nie umiem, wszelakoż — *experto credite Roberto* — najlepiej podobno będzie nie szukać pobudek tego czynu tak daleko. Powiedziałem wam już, że żyjemy w okresie „łaski“ i „sabejskiego mesyanizmu;“ — nie zgrzeszymy przeto przeciw logice, jeżeli komentarza do wywyższenia dra Zyblikiewicza poszukamy we wspomnieniach wspaniałych festynów, którymi stary gród Krakusa podejmował przed kilkoma miesiącami austryackiego monarchę, a których głównym reżyserem był, jak wiadomo, były burmistrz krakowski, a dzisiaj nasz marszałek. „Łaska“ monarsza spływa odtąd na głowę jego obfitą strugą. W przeciągu niespełna miesiąca doznał p. Zyblikiewicz potrójnego wyszczególnienia, otrzymawszy krzyż komandorski jednego z najznakomitszych austryackich orderów, zostawszy dalej dożywotnim członkiem Izby panów wiedeńskiej Rady Państwa, a wreszcie powołanym na marszałkowskie krzesło, osierociałe przez ustąpienie hr. Ludwika Wodzickiego *länderbankowej* pamięci. Wszystko to przypomina — jak widzicie— *Wielką księżnę Gerolstein* i Offenbacha! — Jeżeli więc do tych czynników dodam jeszcze wzgląd, że p. Zyblikiewicz jest kawalerem, i przeto obok istniejącego już „dworu“ J. E. hrabiny Namiestnikowej drugiego już „dworu“ w mieście naszem prowadzić nie będzie, to poznacie już mniej więcej wszystkie pobudki, które nominacyi nowego marszałka przewodniczyły. Rzecz to zaiste smutna, lecz mimo to wielce prawdziwa, *car c'est de cette manière qu'on fait chez nous l'histoire!*

Mimo to wszystko nie ma jednak Galicya wcale powodu martwić się powołaniem p. Zyblikiewicza do steru autonomicznej nawy. Politycznie fakt ten nie ma wprawdzie żadnego znaczenia, i nie jest wcale— jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało — krokiem naprzód, po drodze wiodącej do zdemokratyzowania naszego społeczeństwa. Świeży nominat jest Stańczykiem, a wywyższenie jego, będące — jak sam *Czas* przyznaje — zwycięztwem krakowskiego stronnictwa, nie zmieni nic w dotychczasowym układzie naszych stosunków i nie ożywi też naszego autonomicznego aparatu bardziej postępowym duchem. Cokolwiekbądź, tuszyć można, iż nowy nasz marszałek przy znanej swej energii i administracyjnych zdolnościach, silniejszą pochwyci ręką ster krajowej administracyi i wprowadzi chociażby częściowy ład w tej stajni Augiasza, gdzie pod niedołężnymi rządami hr. Wodzickiego tak srogi zapanował nieporządek. W tej też nadziei witają ludzie myślący z radością jego wywyższenie, nie przywiązując zresztą do tego faktu żadnego głębszego, lub — jak chcą pp. Stańczycy — „wyższego politycznego znaczenia“.

W szeregach naszej delegacyi śmierć zbiera świeże, obfite żniwo, porywając jednego po drugim najwybitniejszych naszych parlamentarnych szermierzy. Zaledwie odprowadziliśmy do grobu zwłoki Kornela Krzeczunowicza i opłakali stratę nieodżałowanego Andrzeja Rydzowskiego, a już przynosi nam telegraf z nad Dunaju nową jobową pocztę — wiadomość o nagłej śmierci Ludwika Skrzyńskiego, znakomitego mówcy i gorącego rzecznika naszych swobód prowincyonalnych. Brak miejsca nie dozwala mi poświęcić pamięci tych zasłużonych mężów obszerniejszego wspomnienia, zwłaszcza, że działalność każdego z nich ściśle jest związana z historyą naszych walk politycznych, i że chcąc ją poddać chociażby pobieżnemu tylko rozbiorowi, musiałbym opowiedzieć niemal cały konstytucyjny okres dziejów naszej dzielnicy. Niechaj mi tu przeto wolno będzie powiedzieć, że wszyscy trzej miłując kraj równie gorącem uczuciem, aczkolwiek zapatrując się na jego dobro odmiennie, poświęcali mu wszystkie swe siły, a działając każdy w swym zakresie i wedle najlepszej swej wiedzy i sumienia, zapisali nazwiska swe głęboko we wdzięcznej pamięci rodaków. Wszystkich trzech zaskoczyła śmierć w służbie krajowej zdala od ojczystej ziemi, tak jak żołnierzy walczących *usque ad finem* w obronie domowego ogniska. Cześć więc

tej rycerskiej trójcy! cześć tym, co się dobrze zasłużyli ojczyźnie!

Żałoba, która w skutek śmierci Krzeczunowicza i Skrzyńskiego dotyka niemal wszystkie z nimi spowinowacone, dostatniejsze domy naszej stolicy, odbije się prawdopodobnie także i na fizyognomii tegorocznego karnawału. Interesa jego stały — prawdę powiedziawszy — już i tak wcale nie świetnie, mianowicie dzięki owym wspaniałym wystąpieniom naszej szkatuły w czasie monarszej podróży, które niepospolitą dziurę wydarły we wszystkich Jaśnie Wielmożnych i Jaśnie Oświeconych kieszeniach. Wprawdzie wyrasta siew ówczesny bujnym dziś plonem „łask" rozmaitych, aliści — *ecce dolor!* — „łaski" te, czysto zresztą osobiste, spływają wyłącznie na głowy Beniaminków dworu—Stańczyków, tudzież ich klienteli. Ztąd też kwas okropny w naszych arystokratycznych kołach,—kwas i aż do krańca posunięta oszczędność, która się oczywiście także odbijać musi i na handlowych naszych stosunkach. To też bawi się u nas dziś tylko niemieckie towarzystwo, — a więc *Non raggionam di loro, ma guarda e passa!*

Junius.

STILLER BANKEROTT!

II.

Widzieliśmy, kto niby kark łamie, zobaczmy teraz, kto nieszczęśliwych niby w przepaść strąca. Mamy tu do czynienia z gromadą wyższego rzędu, ajentami handlowymi. Nie zapominajmy, że między kupcem i ajentem istnieje stosunek, więc i przedział między złodziejem strzygącym owcę, która wpadła do jego owczarni, a tym, coją tam zagnał. Dwie kategorye rozpływają się czasami w jednej, ale dzieje się to nader rzadko. Zwykle wspólną mają oni między sobą tylko chęć prędkiego zrobienia majątku. Po za tem—drogi i środki ich rozchodzą się zupełnie.

Rodowód ich nawet inny. Wykluwają się oni zwykle już nie z kupczyków, ale z kantorowców. Nieokreśloność zajęcia nęci ku sobie i nieokreślonego charakteru ludzi. Do głównego zastępu, jakiego dostarczają kantorowcy, przyłączają się: wykolejeni obywatele ziemscy, dymisyonowani urzędnicy, szulerzy i podupadli arystokraci...

Stosunki—podstawą, a bezczelność i spryt bywa zwykle koroną ich działalności. Ajent działa pod różnemi postaciami. Jeśli potrzeba, masz w nim przyjaciela lub lokaja. Bywa nawet prezesem szanownej instytucyi, konserwatystą czystej krwi, a nawet radykałem. Zresztą, radykalizm nie popłaca. Zadaniem ich — przekonać cię jawnie choćby o tem, że krzywa linia jest najprostszą między dwoma punktami. Nie dokonałby może tego Newton, ale przeciętny ajent zrobi to zawsze.

Zatrzymajmy naszą uwagę na świecących najjaśniej. Są to „ajenci domów."

Co to jest ajent domu? To przedstawiciel interesów jakiejś fabryki czy zagranicznego kupca. W jego stosunkach z domem widzimy dwie fazy. Najprzód epoka miłosna — dobijanie się o względy, przy czem rolę powabów odgrywają wspomniane już przez nas referencye. Brak ich nagradza spryt, występujący pod postacią zręcznie pisywanych do „domu" listów, naszpikowanych złotemi obietnicami. Skromność nie jest bynajmniej cechą tych literackich popisów. Z odwagą bohaterów rosyjskich „bylin" autor wylicza w nich swoje wielkie czyny, jak to wprowadził na nasz rynek handlowy nic niewartujące wyroby kupca M. M. jaką sławną kampanię odbył ze znanym bankrutem H., u którego postradali wszyscy z wyjątkiem jego domu M. M.—wylicza nakoniec swe wpływy, cnoty i niemal tytuły do laurów.

Ajent „presentable" jedzie w tym celu sam za granicę. Jak piłka odbija się on od ściany do ściany i po kilku miesiącach takiej podróży zwiezie napewno wystarczający materyał do zebrania w przyszłości wymarzonego runa.

W drugiej fazie ajent mniej już myśli o interesach domu a więcej o swoim własnym. Szuka on już wtedy kupców na swe ryby. Stosownie do wartości towarów reprezentowanego przezeń domu albo szuka kupców, albo też oni jego szukają. O to mniejsza. Główną rzeczą jest zawsze oszukać domy.

Ruch to warunek życia — tak tutaj jak i wszędzie. Chodzi o to, żeby jak najbardziej wciągnąć jakiegoś fabrykanta na tutejszy rynek, poczem występują wspomniane już przez nas *regulacye*,..

Ajent, czy też jego otoczenie—alarmują zagranicznego wierzyciela wekslami o bankructwie polskiej firmy. Równocześnie ajent prowadzi z kupcem miejscowym układy, czasami popychając go nawet obietnicą swej pomocy do tego kroku...

Ratuj, jak i co możesz — pisze równocześnie zrozpaczony wierzyciel do swego przedstawiciela. Układaj się energicznie. Bierz co się da,—tylko spiesznie.

Ajent reguluje... jak może. Stopień korzystności bankructwa bywa zależnym prawie zawsze od sprytu—a czasami—i od zamożności bankrutującego. Biednemu ogłasza się zwykle upadłość. Jest to śmierć cywilna dla kupca. Ajent ma wtedy pole do okazania swojej energii. Bywa wówczas okrutnym sędzią dla niedoli, bo prawdziwie nieszczęśliwi kupcy, upadłszy raz, nie podnoszą się już prawie nigdy...

Lecz niech tylko odpowiedni fundusz znajdzie się dla ajenta w kasie upadłego, wtedy niewątpliwie pomoże mu on przemienić się z jawnego w „cichego" bankruta. Zamiast potępienia, zyskuje kupiec królestwo boże. Wierzyciele, wzruszeni wymownemi przedstawieniami pośredników, przesyłają mu po regulacyi wyrazy swej sympatyi, a co ważniejsza jej dowód w zwiększonym kredycie. Wszystko, poczynając od fortuny, trzyma wtedy za nim. Nawet „światła" opinia i tu przecież woli „cichego" nad jawnego bankruta! Jeszcze razy kilka ponawia się owa historya a kupiec robi się o tyle „solidnym", o ile ajent bogatym.

Niejedna tylko droga prowadzi do Rzymu. Są ajenci, działający z większym kapitałem... sprytu. Zamiast rzeczywistych kupców, dobierają sobie za spólników fikcyjnych. Z równą łatwością wymyślają oni wtedy nazwiska, z jaką fikcye owe obdarzają sklepami czy magazynami. Nadchodzący towar sprzedają na własne ryzyko, wystawiając wzamian udane weksle. Dzieje się to czas jakiś. Potem znów następuje regulacya, gdzie ajent za nic niewartujące weksle w obawie czasami tylko... kryminału, daje wierzycielowi 50 i 60% stosownie do okoliczności. Jest to co najmniej nieuczciwa wspaniałomyślność!

Posuńmy się zresztą o jeden szczebel wyżej!

Mamy przed sobą zupełnie nowe zjawisko. Świeża jego data zapewne przyczyną, że olśniewa nas ono bardziej *moralnym* niż materyalnym blaskiem. Więcej tutaj bowiem sprytu, niż złota. To — ajenci bankowi!

Stanowią oni wytwór ostatnich czasów. Przeważnie są to dzieci prowincyi. Przyszli na świat wraz z wprowadzeniem różnych filij i banków prywatnych. Imponują raczej jakością swoich wpływów, niż ich ilością. Są tak sprytni, że słysząc o ich działalności, chciałoby się mimowoli zamiast słów oburzenia wygłaszać gorące pochwały.

Dzielą się na dwie kategorye. Jedni, wyznaczani przez bank dla dania opinii o stanie zamożności proszącego o kredyt — są zapytywani o to z urzędu; drudzy znów, pokątni, wyzyskują tylko stosunki pierwszych.

Nie będziemy powstawali przeciw samej instytucyi tego rodzaju ajentów. Stanowią one nader smutną konieczność. Administracya bankowa nie będąc w stanie wyrokować o charakterze i zamożności kołaczącego do niej o kredyt kupca, zmuszoną bywa o to pytać jego kolegów.

W tym celu bank obiera sobie w każdej miejscowości pewną ilość ludzi, od których o każdym takim zasięga opinii. Nieumiejętny jednak ich wybór, czy też niemożność zrobienia innego powodowała smutne pomyłki. Przed kilku laty obrał sobie przypuśćmy bank W. — kilku bankierów-lichwiarzy za opinio-dawców. Ponieważ pozyskanie kredytu przez każdego kupca, będącego z nimi w stosunkach, pociągało za sobą dla nich straty, w udzielanych tedy opiniach wybitniał dziwny fakt. Pomyślność ich odpowiedzi na zapytanie banku bywała w stosunku odwrotnym do stanu zamożności proszącego o kredyt. Jeżeli bowiem kupiec był o tyle pewnym, że go owi bankierzy zasilali dotychczas kredytem, stawał się on według ich zdania stanowczo „niesolidnym" dla banku. Jeżeli zaś jego hypoteka kupiecka była o tyle zamazaną, że jej owi bankierzy więcej już swym kredytem obarczać nie chcieli, odstępowali chętnie tę przyjemność pytającemu o zdanie—bankowi...

Ależ to nadużycie zaufania! Przenigdy. Przypominamy specyalne słownictwo handlowe. To tylko—grzeczność, wyświadczona proszącemu o nią, tem bardziej obowiązkowa, im mniej niebezpieczna dla tego, który ją wyświadcza...

Bank Polski, zakładając nowe filie w miastach prowincyonalnych, był pod tym względem w położeniu o wiele niekorzystniejszem. Nowo ustanowiona administracya, mając do wyboru albo oryentować się w ciemności nieznanych jej miejscowych

stosunków, albo uciec się do opinii biegłych, wybrała drogę ostatnią. Zwykle tedy opiniodawcami zostawali ci, co się o to starali, a nie ci, co na to zasługiwali. Nie robimy z tego powodu zarzutów Bankowi Polskiemu. W obec uśpionego u nas na prowincyi sumienia publicznego, o tyle trudną, o ile niebezpieczną była ucieczka do jej pomocy. Dzięki jednak temu faktowi, z przedmiotu obywatelskich usług zrobiono przedmiot oszustwa. Przyodziewało się ono zresztą w różne szaty.

Brak miejsca nie pozwala nam rozpatrzeć szczegółowo jego podgatunkowań. Zresztą jeden wymowny przykład wybawi nas z tego kłopotu. Jakiś zręczny ajent, zamyśliwszy i dokonawszy *wielką operacyę*, połączył w tym celu prawie wszystkie owe środki, jakie charakteryzowały genialnych na tem polu działaczy. Rozpatrzenie tedy tej jednej operacyi da nam pojęcie o wielu jej pokrewnych. Rzecz się dzieje w jednem z miast gubernialnych. Pan N. podejmował się zwykle wyrabiania kupcom i obywatelom kredytu w miejscowej filii. W imieniu żądających N. robił podania i kiedy bank zwracał się do wskazanych opiniodawców, ci uprzedzeni, czy też uproszeni w ten lub inny sposób przez p. N. odpowiadali zwykle zgodnie z jego życzeniem tj. bez namysłu wypełniali podany im szemat w rubrykach *dobry* lub *znany*. P. ajent pobierał rozumie się za tę usługę odpowiednie wynagrodzenie. Korzystając z takiej łatwości uzyskania kredytu, nietylko drobni kupcy, ale nawet i przekupki miejskie dostawały się na listę osób odpowiedzialnych do wysokości kilku set lub kilku tysięcy rubli.

Dyskontowany bowiem przez bank weksel musi być opatrzony dwoma podpisami. Otóż temu bardzo łatwo sprytny N. zaradził. Właściciele domów przez jego pośrednictwo uzyskiwali kredyt dla swych stróżów, kupcy dla swych subjektów i poręczeniami tych świętych tureckich wzmacniali swoje własne zobowiązania. Czasami znów dla odmiany weksle wystawione przez kilka przekupek N. sprzedawał w banku a pieniądze chował... dla siebie, dopóki nie przyszła pora wykupu lub sposobności do jakiegoś nowego podstawienia.

Powodzenie jednak wzmacnia odwagę. N. zapragnął wyższego rodzaju laurów. Wymyśliwszy kilkanaście, czy też kilkadziesiąt nazwisk, obdarzył je jakiemiś fałszywemi świadectwami, i porobiwszy odpowiednie w ich imieniu podania do banku— wyrobił im a raczej sobie, na imię owych nieistniejących osób — kredyt. No, a opiniodawcy, którzy przecież świadczyli, że owe manekiny były *dobre* i *znane*?

Tu występuje dosadnie kilka naszych cnót. Nie zdając sobie bynajmniej sprawy ze swoich czynów, poświadczali oni spokojnie na prośby p. N. stan majątkowy jakiegoś nie istniejącego Ciuciubabskiego lub Piórkowskiego, bo te stopnie kupieckiej cenzury nie zobowiązują ich do żadnej odpowiedzialności. Co ich to obchodzi, że Ciuciubabski nieistnieje? Piszą *znany* lub *dobry*, bo to nic nie kosztuje. Potem już operacye uskuteczniały się w sposób bardzo prosty. Nieistniejący Ciuciubabski wystawiał weksel na rzecz również nieistniejącego Piórkowskiego, a ponieważ oba już (dzięki powyższej operacyi) — mieli sobie przyznany kredyt, N. łatwo weksel sprzedawał bankowi. W krótkim czasie N. wytworzył kilkadziesiąt takich zmyślonych osobistości, których podpisy na wekslach zręcznie kombinował między sobą, z początku wykupując je w terminie, a później...

Pewnego poranku p. N. ujrzał się za granicą, a bank znów posiadaczem nic niewartujących weksli na kilkadziesiąt tysięcy rubli. W dodatku, ani wystawców, ani poręczycieli nie można było odnaleść. Bank wszakże nie zropaczył: podniósł dyskonto wekslów i w kilka miesięcy niedobór pokryli ci... którzy nie urządzając szacherek, zawsze za nie płacą. I znowu powtarza się zwrotka tej samej pieśni cichych bankrutów: oni kradną, a ogół pokutuje. Nie dość tego w zajmującym nas przykładzie.

Dowcipny gracz kredytowy wrócił z zagranicy, a że okradziony bank, pokrywszy zwiększonem dyskontem straty, nie miał żadnej pretensyi, więc cichy bankrut osiadł bezpiecznie w miejscu rodzinnem i może w tej chwili myśli o nowych kombinacyach.

Nie przesuwamy dalej przed oczyma czytelnika panoramy „cichych bankrutów,“ chociaż zająłby ich niejeden jeszcze okaz. Nadużycie kredytu w celach niegodziwych, stawianie na wązkiej podstawie materyalnej szerokich przedsięwzięć i umyślne wywracanie ich po to, ażeby osiągnąwszy korzyść znowu je postawić, spekulowanie na zagranicę, która bez wiary do naszego charakteru zbywa towary, doliczając do ich ceny możliwość podstępnego bankructwa, w ostatecznym zaś wyniku tych nadużyć— odzieranie ogółu—oto są niezdrowe, szeroko rozpostarte objawy naszego handlu, które niewidzialnie toczą jego ustrój. Tyle porosło chwastu na tem polu, że ogół powoli zaczyna utożsamiać pojęcie handlu z pojęciem szachrajstwa, a kupców, z oszustami. Jest to niesłuszne, ale usprawiedliwione w części choćby postępowaniem wielu jego przedstawicieli. A jednak i na piszącym te słowa, klątwa rzucona na synów Merkurego robi wrażenie skargi kulawego, żalącego się Epiktetowi na brak jednej nogi. „Niewolniku, odpowiada mędrzec—kogóż obwiniasz o twe kalectwo? Co słuszniejsze: czy żeby Jowisz był zależnym od twej nogi, czy noga twoja od Jowisza...“

Tym nieubłaganym Jowiszem są przyczyny ogólniejsze, zaznaczone przez nas w pierwszym artykule. *Stiller Bankerott* z jego odmianami—to tylko wyrzut na niezdrowym naszym organizmie handlowym. Trudno. Podjęliśmy tę sprawę ze świadomem przekonaniem, że artykuły literackie nie zdołają go co prawda spędzić ztamtąd, gdyż westchnieniami nie leczy się ran społecznych; pocieszamy się jednak myślą, żeśmy społeczeństwu otworzyli oczy na chorobę i jej źródło — a to znaczy wiele.

Jan Finkelhaus.

URWANY AKORD.

Jak rozkosznie na tym świecie!...
Kto tu o łzach mówić śmie?!..
Bóg na wszystkich łaskaw przecie —
Niedowiarki, wierzcie mnie!...

* * *

Raz późną nocą wracałem z balu,
Spojony, syty — w humorze...
Pełen tęsknoty i pełen żalu,
Że bal się wrócić nie może.

Szedłem tak marząc, uwity w delję;
Walc dźwięczał jeszcze mi w uchu —
Grzałem przy piersi świeżą kamelję,
Uszczkniętą z łona Jej puchu...

I w szczęściu serca rzekłem do Boga:
„Niech imię Twoje nam świeci!...“
W tem nastąpiła na coś ma noga..
Zmarznięte były to dzieci. —

S T U Ł A.

Organy grały, świece gorzały,
Ksiądz wiązał ręce im stułą.
Dwie sobie dusze poprzysięgały
Wierność i miłość — tak czułą!...

* * *

Organy zmilkły, świece zgorzały,
Ksiądz ślubnym cieszy się darem... ..
Wierny Anielce oddał się cały,
Wierna uciekła z huzarem. —

J. Zengteller.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Włościanie u nas i gdzieindziej. Szkice historyczne przez Walerego Przyborowskiego. Wydawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki N. IV. Wilno, 1881 r. 8-a str. 231. —

Oświadcza autor we wstępie, że postanowił „*zbadać* powody, które na zachodzie pierwotnie, a potem u nas chłopa przytwierdziły do roli“ (str. 2); że się *przekonał*, jako przytwierdzenie owo „nie był to wytwór polski, ale że Polska zapożyczyła go od swych zachodnich sąsiadów“; obiecuje też w końcu wykazać „że ucisk chłopa polskiego był jeszcze rajem wobec ucisku w Niemczech lub we Francyi w pewnych chwilach, wobec nakoniec strasznej, zupełnej niewoli *gdzieindziej*“ (str 3). Z powyższych zapewnień wnieść łatwo, że literatura nasza w pracy p. Przyborowskiego zyskuje *badanie* i to nietylko historyi włościan w Polsce, ale i *gzieindziej*. Badanie zaś owo te (według autora) niepospolite posiada strony, że się w wywodach *nie myli* (str. 2); *wszystko* „bez uprzedzeń i namiętności“ przedstawia; „*bryłki* czystej prawdy zawiera. Naturalnie, szanowny autor namozolił się mocno. Przystępując do pracy, nie mógł się „pozbyć pewnego uczucia smutku, wywołanego tym zamiarem“; niewielu miał „poprzedników w naszej literaturze historycznej“; a co najgorsze — częstokroć trzeba było samemu (!) obrabiać materyał surowy, by wydobyć z niego bryłkę czystej prawdy dziejowej“ (str. 3). Szukajmyż tych „bryłek“.

Nim książka p. Przyborowskiego ujrzała światło, opole (*vicinia*) było połączeniem pewnej liczby wiosek, w jedną zamkniętych całość, w celu czuwania nad bezpieczeństwem publicznem i wspólnego składania na korzyść księcia pewnych ciężarów. W razie, gdy zbrodniarz nie został odkryty lub napadniętemu nie nadbiegli mieszkańcy z pomocą, — za przestępstwo odpowiadało opole; ono też składało księciu takie ciężary, których nie mogła dźwi-

gnąć jednostka, np. *vaccam et bovem* — wołowe i krowne. Tymczasem autor dziwne rzeczy znalazł w opolu. „Nikt, powiada, z członków opola nie był właścicielem ziemi, ale było nim całe opole, cała gmina. Starszyzna wyznaczała grunta każdemu i mogła je też odebrać... Gmina ta była tu wszystkiem, pojedyńczy mieszkaniec niczem. Jego wola, dążności, cele, zamiary ginęły w woli, dążnościach i zamiarach gminy“. Podobna organizacya trwać miała do końca XIII wieku, ale niektóre jej właściwości przetrwały aż do XV stulecia (str. 10).

Skądże autor wydobył tę „bryłkę“? Powołuje się na prawo bartne Kurpiów, na konstytucyę z r. 1667 i prawo obelne Jedlni; lecz w jaki sposób powiązał to wszystko z opolem? — zrozumieć trudno. Jak rozszerzanie atrybucyi i utożsamianie opola z samorządem, tak błędnem jest również narzucanie ostatniego epoce piastowskiej. Samorząd wymarzono w pierwszej połowie bieżącego stulecia pod wpływem demokratycznych dążności czasu; badania zaś nowe nie uznają go wcale.

W określaniu i wyliczeniu ciężarów p. Przyborowski także rozpisuje się mylnie. Powiada, że daniny i obowiązki oznaczono ogólną nazwą prawa ziemskiego (str. 17); chociaż dyplomata znają w tym względzie termin *jus polonicale*; nie rozróżnia ciężarów, leżących na jednostkach i wioskach, od obowiązków opola. Dla czego autor nie poparł faktami twierdzenia, że „za utratę sokoła lub psa całe opola płaciły dość wysokie kary“?; dla czego ciężarów nie przeliczył porządnie, lecz tylko „mniej więcej“ (str. 19). Gdzież obras, mostowe, podworowe, grocz, swacyrba, godne, pijcza, *coquina*, panieńskie, wdowie i tyle innych? Zresztą, czyż te ciężary sami tylko składali chłopi?; czyż samo poradlne i to tylko do r. 1347 (?) płaciła szlachta?

Takie opole, jak je pojmuje autor, istnieć miało do końca XIII wieku; upadać poczęło w ten sposób, że „król (może *książę*) zrzekał się danin i powinności kmiecych na rzecz obdarowanego; czyli że opole z pod władzy królewskiej przechodziło pod cięższą, bo bezpośredniejszą (?) władzę pana“ (str. 21). Chociaż zbiory dyplomatyczne *wtajemniczyły* autora w nadania książęce i pozwoliły mu przytoczyć „kilka (!) bardzo ciekawych faktów, rysujących *dobitnie* stan rzeczy“; — pomimo tego powyższego ustępu nie zrozumiałbym wcale, gdyby nie wyjaśnienie, że na podstawie darowizn „klasztór lub pan wstępuje na miejsce zwierzchności gminnej, wydziela grunta, których nie opole, ale on jest właścicielem“ (str. 22). Tu p. Przyborowski zabrnął fatalnie. Zapewnił wyżej (str. 10), że właścicielem ziemi było opole, a do księcia należały tylko daniny; obecnie zaś nietylko daniny, lecz i grunta rozdaje instytucyom i osobom prywatnym. W jakiż to sposób mógł książę rozdawać rzecz cudzą? Wprawdzie w innem miejscu autor zaznacza, że „*teraz* (t. j. w XII czy XIII wieku) właścicielem stawał się najprzód król, *a potem* (?) klasztór, biskup lub rycerz“; lecz w jaki sposób ów „król“ p. Przyborowskiego w XIII w. stał się właścicielem ziemi, będącej własnością opola?; dla czego stał się właścicielem gruntów owych dopiero w XIII w., kiedy autor już w X stuleciu buduje (przez nieznajomość księdza Gackiego) klasztór sieciechowski i na rzecz jego czyni nadania (str, 23)?

Rzecz dziwna, że samorząd w tej właśnie chwili, w której autor każe mu zniknąć, pod nazwą prawa niemieckiego dopiero się zjawia. P. Przyborowski wie o prawie niemieckiem, ale tylko „mniej więcej“, — „w ogólnych zarysach“ (str. 27). Sołtys był, według autora „*zawsze* wybieralny *dożywotnio*“, a grunta posiadał „*przeważnie dziedzicznie*“ (str. 27); raz „osadnik niemiecki, siedząc na *wieczystej dzierżawie*, nie zawsze ją mógł sprzedawać lub dzielić“ (str. 27); a w innem miejscu „Niemiec, obcy przybysz, jest *właścicielem* gruntu, na którym osiadł“ (str. 28). Nie dowiadujemy się od autora, czy kmiecie uciekali tylko z opolów do osad na prawie niemieckiem, czy też starali się o nie i sami.

W pomnikach XIII stulecia mieszczą się dwie grupy wieśniaków: *liberi i ascripticii*, zwani także *obnoxii*, *servi glebae* lub *servi*. Autor terminów tych nie zna i bez żadnych dowodów niewolników od przytwierdzonych odróżnia. To, co mówi o jurysdykcyi patrymonialnej i o wzroście znaczenia szlachty, zastanowienia jest godnem. Wylicza kilka uwolnień z pod jurysdykcyi urzędników książęcych i krotochwilnie dodaje: „znalazłoby się może więcej tego rodzaju nadań, *gdyby dobrze poszukać*; ale... dość tych paru przykładów... że szlachta XIII wieku nie miała jeszcze nad kmieciem sądów potrymonialnych, chyba wyjątkowo, jako przywilej“ (str. 32). Sądzimy, że należało właśnie *dobrze poszukać*, albowiem nie sam przykład, lecz wielość faktów decydować tu może. A co znaczy ten ustęp: „szlachcic, który otrzymał w darze od króla pewną przestrzeń ziemi, starał się przedewszystkiem o to, żeby uwolnić swego kmiecia z pod prawa polskiego, czyli o przeniesienie danin i powinności z osoby królewskiej na siebie...“ (str. 32). Wnosićby można, że król płacił daniny, a poczciwy szlachcic chce z niego zdjąć ciężar i włożyć na siebie; to znowu rodzi się domysł, że może rycerz gorzał chęcią uwolnienia chłopa od powinności prawa polskiego...

Według autora „mało było istotnych moralnych różnic między kmieciem i szlachcicem XII wieku“... „wszyscy sobie byli równi moralnie i umysłowo, a przy takim stanie rzeczy różnice społeczne nie mogły mieć zrazu wielkiego znaczenia“ (str. 36). Ciekawy to ustęp wobec nawoływań Kadłubka, że „błądzą ci, którzy szlachectwa nie w duszy, lecz we krwi dopatrują“; wobec istnienia baronów; wobec zresztą samego autora, według którego „*na zewnątrz* (?) różnił się chłop od szlachcica *tylko* w zakresie przywilejów (bagatela!), które szlachta otrzymała w końcu XII wieku“ (str. 34). P. Przyborowski poczucia „wyższości krwi lub przeznaczeń szlacheckich“ nie znajduje nawet w statutach wiślickich „bo takich pojęć ówczesna szlachta nie mogła jeszcze o sobie i w sobie (?) wytworzyć“ (str. 38), A co znaczy stopniowanie główszczyzny i grzywien za rany? Zresztą na jakiej zasadzie każe autor szlachcie w XII już wieku polityczną odgrywać rolę, wypędzać Mieszka, Kazimierza na tron wprowadzać i — to najciekawszą stanowi „bryłkę“ — skądże wie o tem, że w tymże stuleciu „znikają na zawsze z dóbr szlacheckich wszelkie ciężary prawa ziemskiego“ (str. 34), skoro w innem miejscu obwieścił, że szlachta do r. 1347 płaciła poradlne (str. 17)?

Gniewa się autor na statut wiślicki „tak wychwalany przez niektórych naszych pisarzy“ (str. 38); w innem znów miejscu rehabilituje jego względem chłopów przepisy i tryumfuje, jako jest *pewny*, że go przedstawia „w nowem świetle“, w którym „zyskuje“ (str. 42). Nie musiał jednak szanowny badacz statutu tego czytać dość pilnie, skoro raz twierdzi, że właściciel nie był obowiązany dotrzymać umowy z chłopem (str. 41); drugi raz znowu, że „kmieć mógł skarżyć niedotrzymującego kontraktu pana do sądów ziemskich“ (str. 44). Czyż to także ma być nowem, na statut rzuconem światłem, że sołtys *niczem* się od szlachcica nie różnił (str. 43)? Po cóż więc statut małopolski wiślicki z sołtysa kreuje rycerza i to ostatniego gatunku? Nie miał widocznie p. Przyborowski przed sobą Helcla, gdyż nie porównał chłopa wielkopolskiego z małopolskim i nie wykazał pomiędzy nimi różnic. Zabawne ma także autor pojęcie o pakcie koszyckim. Twierdzi, że „odtąd (t. j. od paktu) szlachta ma w swem ręku t. zw. w średnich wiekach *jus ducale* i poczyna nosić dumny tytuł *dziedzica!*“ (str. 45)... Więc przed nim prawa książęcego szlachta nie miała i nie znała własności!...

Podobnych kwiatków po dziejach chłopa z XV, XVI i XVII stulecia rozrzucono moc wielką; nie poskąpiono ich także wiekowi XVIII, który autor studyował tak głęboko i z taką lubością, że z tego powodu nie jest w stanie sam dla siebie utaić zachwytu. „Uważamy sobie — powiada — za obowiązek zaznaczyć *najmniejsze drgnięcie* w tym zbawiennym kierunku (reform), gdyż szereg tych drobnych kamyków złoży się na *pyszną mozajkę*, na *wspaniały monument* (!) dla naszych ojców, którzy... skonali z księgą praw, z uśmiechem ulżonego sumienia“ (str. 183). Czyż streszczenie ustaw Brzostowskiego i księżnej Jabłonowskiej, lub powtórzenie tego, co inni o Przebendowskim, Zamojskim i Chreptowiczu pisali, ma stanowić ową „pyszną mozajkę“ i ów „wspaniały monument“? Śledził p. Przyborowski za „najmniejszem drgnięciem“ w epoce reform, a kwestyi chłopskiej w literaturze czteroletniego sejmu nie dojrzał. Chociaż miał 38 (?) broszur, dotyczących sprawy włościańskiej, — nie wymienił ich przecież i korzystać z nich nie chciał, „gdyż w ogólności niewiele one przedstawiają interesu“ (str. 8). Jakaż szkoda, że się autor nie przyjrzał *Listom* Kołłątaja i tak znakomitym broszurom, jak: *Uwagi praktyczne o poddanych polskich względem ich wolności i niewoli* (1790), *O poddanych polskich* (1788), *Myśli polityczne dla Polski* (1789) i t. p. Zresztą w owej pysznej mozajce p. Przyborowski nie wie, czego się trzymać. Raz z Lubomirskim wiek XVIII nazywa czasami pańszczyźnianych saturnalii (str. 155); na drugiej stronie zaznacza, że „w Polsce z XVIII wiekiem zanosi się na lepsze... poczynają się coraz częściej pojawiać jasne gwiazdy polepszenia nadziei (?)“. Zapowiada, że przypatrzy się „im (gwiazdom) starannie“, a jednak zawodzi. Powiada, że „*gdyby dobrze poszukać*“, — znalazłby mnóstwo przykładów obudzonego sumienia w narodzie; „ale nie doprowadziło by nas (t. j. autora) to do niczego“ (str. 201).

Niepodobieństwem jest śledzić za myślą autora, który, pisząc, nie myślał; nie podobieństwem jest również wyczerpać $^1/_{000}$ sprzeczności, błędów faktycznych i przeróżnych urojeń. P. Przyborowski identyfikuje poradlne z podymnem i stróżę z sepem (str. 17); w XIII w. znajduje Polskę *samowładną* (str. 24); rękojemstwo rozszerza po za ramy Mazowsza (str. 78); zna *województwo* sochaczewskie (str. 101); w początkach XVI w. ustanawia podatek, zwany kwartą (str. 105); Przyłuskiemu nie pozwala się bawić w uzasadnienie swego programu, to znowu uzasadniać go każe (str. 115); Russa *Uwagi nad rządem polskim* wydaje „mniej więcej około r. 1790“ (str. 211) i t. p. i t. p.

Na każdej stronie ulokował autor naukowe odkrycie i zadziwia nowością faktów. Kościuszko „znosił stanowczo przytwierdzenie do roli i nadawał chłopu zupełną swobodę osobistą“; a oprócz tego „zapewnił mu własność ziemi“; — w dalszym znów ciągu manifestu połanieckiego „nakazuje zmniejszenie danin, powinności i pańszczyzny“ (str. 213). Któż z powyższego docieknie, czy Kościuszko nadawał chłopu ziemię na własność, czy tylko zmniejszał pańszczyznę; trudno bowiem przypuścić, aby mógł jednocześnie stanowić jedno i drugie. Zresztą wrzekome uwłaszczenie przez Kościuszkę wieśniaka autorowi nie podoba się mocno i bohaterowi z tego jedynie przebacza względu, że „nie znał on (Kościuszko) dobrze tych rzeczy“, t. j. nie wiedział, jak p. Przyborowski, że chłop u nas nigdy nie miał własności rolnej, a „więc bez dobrowolnej umowy lub długoletniego wykupu“ posiąść jej nie

mógł. „Nie znał on dobrze tych rzeczy“! — ale za to p. Przyborowski wie dobrze „że nadanie wieśniaka (*sic*) polskiego bezwzględną własnością sprzeciwia się“ historyi i historycznie wytworzonym stosunkom“ (str. 223). Doprawdy, gdyby była pewność, że przed wiekami istniało u nas ludożerstwo, — należałoby się obawiać poważnie, żeby go autor w imię „historyi i historycznie wytworzonych stosunków“ nie wskrzesił.

P. Przyborowski nietylko, że niczego nie dowiódł, ale nawet nie był w stanie przedstawić tego, co w sprawie dziejów chłopa dotychczas zrobiono. Nie wiemy, co w książce jego bardziej podziwiać: ubóstwo wiedzy, lekkomyślność, arogancyę, czy też świętą naiwność. Bez znajomości źródeł i takich opracowań, jak Roeppla, Hubego, Wojciechowskiego, Bobrzyńskiego i tylu innych; bez elementarnego wykształcenia historyczno-prawnego; bez rozsądku i loiki, na wątłe barki włożył brzemię Atlasa i śmie jeszcze z dzisiejszych badaczy, pseudo-historykami ich zowiąc, pokpiwać (str. 116)...

Wł. Smoleński.

LIBERUM VETO.

Ukryta tajemnica. — Zkąd bierzemy reformy. Wieści które się rodzą w Petersburgu a umierają w Warszawie.— Prośba o wyjątek w regule. — Nowy frak na rachunek samorządu. — Odkrywanie Ameryki. — Kolumb płocki. — Bale, maskarady i teatr. — Ptacy niebiescy i gęsi teatralne. — Sprzedaż mandatów.— Szczerość względem zachwiania się pensyonatu. — Karta pogrzebowa.

W gazecie *Nowoje Wremia*, w której szpaltach *polskij wopros* już teraz nawet na chwilę spać się nie kładzie, trysnął świeży strumień humoru. „Po dziennikach przemknęła wiadomość, że wypracowano projekt reform niektórych w Król. Polsk. i że projekt ten rozpatrują wyższe władze państwowe; rossyjska jednak prassa nic a nic o tem nie wie. Czy wie cóśkolwiek warszawska? Sądzimy, że *tak*; lecz ona *umie* milczeć nietylko z powodu warunków wiadomych, ale i dla tego, ażeby nic „niestosownego“ (*niepodchodiaszczawo*) nie przedostało się do prassy rossyjskiej...“ Mamy więc, dzięki *Now. Wremieni*, znowu głęboko zakopaną tajemnicę, obstawiliśmy rogatki warszawskie strażami, ażeby ona do dzienników rossyjskich się nie przekradła. Ach, czemuż z piwnicy dwu pism, do których należę, nie mogę przynieść sobie butelki „niepodchodiaszczawo“ i w czterech ścianach upić się sam tym słodkim odurzającym nektarem! Zgodziłbym się nawet nalać z niej kieliszek *Now. Wremieni* i trącić się po bratersku. Niestety, ani ja, ani nikt z moich znajomych w prassie warszawskiej nic nie wiemy o żadnych reformach; nikt nas do milczenia nie zmuszał i gotowi jesteśmy każdej chwili pootwierać wszystkie szlabany rogatkowe dla wiadomości, wyjeżdżających z Warszawy do Petersburga. Jeżeli zaś *Now. Wremia* chce wiedzieć, zkąd u nas się biorą wszelkie wiadomości o „reformach,“ to najchętniej zadowolnię jego ciekawość objaśnieniem. O tem, co się stało, donosi nam niemal zawsze *Prawitielstwienyj Wiestnik*, o tem, co się ma stać, *Nowosti*, *Gołos*, *Mołwa* lub *Nowoje Wremia*. Oto są główne i jedyne źródła nasze, z których czerpiemy wszystko „niepodchodiaszczoje;“ jeżeli zatem jakaś nowina nie wędruje od nas do Petersburga, to tylko dla tego, że tam się narodziła a u nas umiera. *Nowoje Wremia* nie może sobie nawet wyobrazić, ileśmy już pochowali „reform“ wylęgłych w własnem jego gnieździe, nie urodziwszy dotąd ani jednej własnej. I teraz dowiadujemy się o nich z 6-go N-ru *Strany* i 8-go N-ru *Gołosu*, gdzie na str. 1 w szp. 3 i 4 ciekawi znaleźć mogą przedmiot ten wyłożony obszernie a opatrzony wyczerpującemi i daleko po za koniec nosa *Now. Wremieni* sięgającymi komentarzami.

Wszystko to—jak rzekłem—znajduje się nie w którejkolwiek z gazet warszawskich, lecz w odgadującym zamiary rządu i lepiej niż my poinformowanym *Gołosie—loco citato*. Jeżeliśmy więc mieli jakąś tajemnicę, to *Gołos* nam ją wydarł, podsłuchał i puścił w świat coś „niepodchodiaszczawo.“ W końcu nadmienić winienem, że jeśli *Now. Wremia* przystąpi do ułożenia politycznej gramatyki polskiej, niechaj mnie pomieści między wyjątkami od reguły, według której wszystkie imiona, kończące się na...ski, są rodzaju... naiwnego. To znaczy, nie pobiegnę do czytelników moich z radosną nowiną i nie padnę przed nimi zatchnięty, aż w *Praw. Wiestniku* przeczytam urzędową wiadomość...

Nie przeczę, że między moimi stęsknionymi do innego życia ziomkami są łatwowierni. Znam jednego poczciwego kupca, który przeczytawszy powtórzoną przez nasze pisma ze *Strany* wiadomość, że „dozwolono gubernatorom zapraszać na posiedzenia, przedstawicieli organów samorządu,“ przywołał do siebie najstarszą córkę i rzekł:

— Jak uważasz Michasiu, czy w tym fraku możnaby jeszcze pójść na sesyę gubernialną?

— A czy tatko został radcą?

— No, jeszcze nie zostałem, ale kto wie, mają być powoływani do obrad ludzie prywatni, członkowie samorządu... Więc, trzeba sprawić nowy.

Mała bieda, jeżeli ktoś na rachunek „wkrótce mających nastąpić“ reform sprawi sobie frak nowy, gorsza—jeżeli na tym lodzie zamek zbuduje. Co tu mówić o *jutrze*, którego, jak trafnie mówi ks. Baka „nie wyorzesz pługiem,“ kiedy „nie dogonisz *wczora* ougiem.“ Przed kilku dniami przebiegła po naszych gazetach „pocieszająca wiadomość“, że „ustawa towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży *została podobno zatwierdzoną*“. O bogi, nauczyliście mnie się śmiać, nauczcież teraz, jak się od śmiechu wstrzymać. Jaka ustawa? przez kogo *podobno* zatwierdzoną została? A toż niedługo upłynie dwa lata, jak minister oświaty osobnym, we wszystkich gazetach drukowanym i objaśnianym okólnikiem *polecił* zakładać przy szkołach towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży. Nietylko pojedyńcze gimnazya wypracowały odpowiednie projekty, ale nawet pojawiły się składki, poszukujące za pośrednictwem prassy skarbonek, do którychby bezpiecznie wpłynąć mogły. Więc chyba w jakiej szkole zrobiono to, co minister *polecił* — inaczej nie pojmuję owej „pocieszającej“ wiadomości. W tej postaci jest ona dla mnie tem bardziej zrozumiałą, że my nieraz odkrywamy prawa, jak Amerykę, a nawet znajdujemy w nich skarby. Najlepiej to poświadczy Kolumb płocki ks. Ołdakowski, który pełniąc obowiązki gimnazyalnego prefekta, dopiero teraz przypadkiem z miejscowego *Korespondenta* dowiedział się, że mu wolno religię wykładać po polsku.

Spostrzegam po niewczasie, że o tak nudnych przedmiotach, jak sny reformowe i towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży, nie przystoi mówić w karnawałowej porze. Zdałoby się coś o balach, o maskaradzie, no, wreszcie o naszej „świątyni“ — teatrze. Co do balów, nie odmawiając kwiecistości opisom kuryerowym, sądzę za najwłaściwszy mi sprawozdawcami w tym kierunku byliby lichwiarze, których albumy powiększyły się niezawodnie wymownemi pamiątkami. Maskarady — jak zapewnia jedno z pism najlepiej poinformowanych— odznaczają się świetnymi kostiumami, które prawdopodobnie garderoba teatralna, zapatrzona w starzyznę, pozwala amatorom dodzierać. Ze sfery dowcipu na szczególne wyróżnienie zasługuje pomysł pewnego chciwego stosunków miłosnych młodzieńca. który przebrał za kobiety czterech posłańców i kazał się im intrygować, budząc podziw między znajomymi obfitością napastujących go „maseczek“.

Co do świątyni Melpomeny, mogę się podzielić z wami, czytelnicy, również radosnym faktem, że podczas gdy warszawska jej arcykapłanka za przejażdżkę po Europie otrzymała kilka tysięcy rubli znacznie powiększonej pensyi, kapłani prowincyonalni chodzą podobno po polach i wygrzebują z głodu niewykopane kartofle, ażeby mieli siłę do należytego odgrywania wicehrabiów i książąt. Na szczęście, zającom, kuropatwom i prowincyonalnym aktorom przychodzi w pomoc lekka zima, która pozwala nadto ogryzać młode gałązki i skubać zielone żyto. Ach, czemuż te ptaki niebieskie, które nie sieją, nie orzą i jeść nie mają co, czemu te prawdziwe *trupy* prowincyonalne nie powędrują na kilka tygodni bodaj pieszo, bodaj do Zgorzelic lub Bochni, i wróciwszy, nie podyktują swym dyrektorom wyższych warunków? Przy sposobności nadmieniam, że na wiosnę spodziewany jest odlot teatralnych gęsi, którym lato u nas szkodzi, i że izba niższa parlamentu teatrów warszawskich zamyśla o sprzedaży swych mandatów, gdyż od listopada nie zwołano ani razu jej członków. Jako radca dramatu czy komedyi zakładam na tem mniejscu mój protest.

Nie korzystam natomiast z mojego *liberum veto* przeciwko żadnej „niewypłacalności“ i „zachwianiu się,“ bo na szczęście nikt z *solidnych* w ubiegłym tygodniu po cichu nie runął. Zachwiał się wprawdzie jeden pensyonat żeński, którego przełożona wyjechała na trzy dni do Brześcia, ale wypadek ten dzienniki nasze wyzyskały z tą szczerością, której nigdy nie zaofiarują „chwiejącemu się“ kupcowi lub bankierowi. Nie będę więc do kupy ich kamieni dorzucał nowego, zwłaszcza że owa przełożona nie upadła przez „differencye“ i nie powstanie przez „regulacye.“

Na końcu mojej dzisiejszej pogadanki przylepiam smutną kartę pogrzebową: umarł ks. Franciszek Malinowski, sędziwy, ociemiały, trudami i niedostatkiem pognębiony badacz językowy. Jak gdyby zatrzymywał resztkę życia do chwili, w której wyjdzie jego dzieło *Gramatyka Sanskrycka*, umarł ledwie obeschła farba drukarska na ostatnich arkuszach. Nie sądzimy tu owoców jego długoletniej działalności naukowej, czcimy tylko na świeżej mogile długą, wytrwałą, olbrzymią pracę, która pozostanie zawsze pięknym przykładem, chociażby nie osiągnęła zamierzonych celów. Malinowski był prawdziwym kapłanem — nauki, z jej nieśmiertelników należy mu się wieniec, który ze szczerą łzą składamy na jego grobie.

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 3 lutego.

Położenie polityczne w Europie względnie do poprzedniego tygodnia nie przedstawia żadnych nowych faktów, któreby można było nazwać znamionami sytuacyjnemi w całem znaczeniu tego wyrazu.

Dzienniki też polityczne przetrawiają w nowych przyprawach stare rzeczy, a że przytem nie obywa się także bez mniej lub więcej udatnych „kaczek“, jest rzeczą całkiem naturalną.

Sprawa grecka, będąca zawsze jeszcze głównym przedmiotem, pochłaniającym czynność dyplomatyczną wielkich mocarstw, postąpiła niby naprzód o tyle, że ostatni, dotychczas ociągający się z przyjęciem tureckiej propozycyi nowych układów, gabinet angielski przychylił się nakoniec do tego wniosku bez ograniczających zastrzeżeń. Tak więc, jeśli jakieś na razie nieprzewidziane przeszkody nie zajdą, będzie Europa miała nowe widowisko konferencyi dyplomatycznej w szczególnej formie. Nie będzie to bowiem konferencya w właściwem tego słowa znaczeniu, lecz rozczłonkowane na cząstki układy. Mianowicie, Porta otomańska traktować będzie z wszystkimi ambasadorami państw podpisanych na traktacie berlińskim równocześnie, lecz nie zbiorowo, tylko z każdym z osobna. Drogą tych układów ma być wytknięta nowa granica ustępstw, do jakich Turcya na rzecz Grecyi jest gotową, po czem mocarstwa zaofiarują na tak pozyskanej podstawie pośrednictwo swoje w Atenach. Kiedy się te nowe układy rozpoczną, nie wyznaczono dotychczas napewno; zdaje się przecież, że bezwłocznie to nie nastąpi, ponieważ dwóch, prawie że najpoważniejszych obecnie członków ciała dyplomatycznego w Konstantynopolu, t. j. pp. Hatzfeld (niemiecki) i Göschen angielski, mają dopiero odbyć podróż w tych dniach powrotną nad Bosfor z Berlina i Londynu, gdzie przebywają teraz.

Po za tem historya ubiegłego tygodnia zapisała tylko jeden fakt spełniony, mianowicie odrzucenie przez sejm pruski wniosku Windhorsta, domagającego się zmiany praw majowych o tyle, aby odprawianie mszy i wykonywanie sakramentów dozwolonem zostało duchownym katolickim bezwzględnie. Kwestya zasadza się na tem, że obecnie w parafiach, które utraciły proboszczów, a nowych otrzymać nie mogą skutkiem opozycyi przeciw ustawie państwowej, zastrzegającej dla nominacyi zgodę rządową — że tedy w parafiach takich t. zw. „osieroconych“ niewolno jest księżom obcym czytać mszy, chrzcić, dawać ślubu i t. d. Wniosek zatem Windhorsta zmierzał do usunięcia tego przepisu, w celu zapewnienia mieszkańcom „osieroconych“ parafii posług religijnych. Przyznać trzeba, bezstronnie rzecz biorąc, że ustawa pruska jest w tym punkcie czysto żandarmską, ponieważ państwową racyą stanu umotywać się nieda, a ludzi wierzących pozbawia niezależności sumienia i osobistej swobody w praktykowaniu obrzędów, które im są w przekonaniu wewnętrzem potrzebne. W zupełności też rozumiemy pobudki tych liberalnych członków sejmu, którzy głosowali za wnioskiem Windhorsta. Zawsze to przyzwoiciej dla Izby, że wniosek ten zawdzięcza swój upadek bismarkowskim batalionom junkrów prawicy i nacyonalnych liberałów.

Parlament angielski formalnie przebijać się musi w fizycznym niemal znaczeniu słowa przez „obstrukcyjną“ taktykę irlandczyków. Posiedzenia Izby gmin trwają blisko po całej dobie, wśród burzliwej dyskusyi i skandalów, a dotychczas Izba nie dobiła się jeszcze nawet do pierwszego czytania bilu o represyjnych środkach przeciw irladzkiemu ruchowi. Z wnioskiem reformy regulaminu rozpraw rząd dotychczas nie wystąpił, trudno więc przewidzieć, jak długo ta kampania potrwa. W Afryce południowej anglicy znowu ponieśli dość znaczną stosunkowo klęskę, straciwszy 230 zabitych i cofnąć się musieli przed nieprzyjacielem.

Francuska Izba deputowanych zajmuje się obecnie uchwaleniem nowej ustawy prasowej. Szkic tego prawa skreślimy po ostatecznym sformułowaniu go przez parlament.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Inżenierowie miejscy wygotowali już plan regulacyjny miasta Warszawy. W planie tym ze strony Woli granice miasta mają być posunięte aż do plantu kolei obwodowej.

— Obszerne pokłady galmanu odkrył na gruntach włościańskieh we wsi Starczynowie p. J. Ciechanowski i wniósł do władzy włościańskiej podanie o pozwolenie na eksploatowanie galmanu i błyszczu ołowiu.

Stowarzyszenia. Towarzystwo czytelni ludowych w Poznaniu ogłosiło konkurs na napisanie *popularnej weterynaryi.* Nagroda za najlepszą pracę wynosi 20 marek. Dzieło wykładać ma w sposób zwięzły i naukowy choroby naszych zwierząt domowych i sposoby ich leczenia.

— Ze sprawozdania Towarzystwa Rybackiego w Krakowie dowiadujemy się, że instytucya ta rozwija się nieustannie. Ku końcowi 1879 r. liczyło ono 16 zorganizowanych oddziałów dla różnych rzek kraju i 626 członków. Prezesem Towarzystwa jest prof. Dr M. Nowicki.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, odbytem w d. 17 b. m. Wł. Jażdżewski odczytał dalszy ciąg sprawozdania swojego z rozpraw kongresu archeologicznego berlińskiego, tyczących się kwestyi: *Czy słowianie zamieszkiwali kraje między Elbą a Odrą dopiero od wieku szóstego po Chrystusie?*

— Tamże odbyło się walne zebranie miejscowego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na którem prezes Tow. p. St. Koźmian odczytał sprawozdanie z czynności zarządu za rok ubiegły.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się w d. 20 b. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem d-ra Teichmanna. Przedstawiono rękopis dzieła Wład. Taczanowskiego p. t. *Ptaki krajowe,* oraz rozprawę Miecz. Łazarskiego: *O konstrukcyi punktów przecięcia krzywych rzędu drugiego.* Następnie pr. Kuczyński wyłożył treść rozprawy d-ra Zygmunta Wróblewskiego: *O zastosowaniu fotometryi do studyowania kinematycznych procesów, zachodzących w cieczach,* poczem oddano do oceny pracę d-ra Pawła Brzezińskiego; *O trysekcyi kąta.* W końcu posiedzenia odbyły się wybory, przyczem dyrektorem wydziału na następne dwa lata obrano jednomyślnie prof. Teichmanna.

— Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności Krakowskiej odczytał prof. d-r Bobrzyński pierwszą część obszernej rozprawy p. t. „Kwestya kmieciów w Polsce pierwotnej“. W dalszym ciągu posiedzenia prof. d-r Lucyan Malinowski zawiadomił Wydział, iż w posiadaniu chwilowem prof. Krysińskiego w Warszawie znajduje się rękopis in 4-to papierowy, str. 94, z roku 1816 p. t. „Porządek prawa bartnego wedle starożytnego zwyczaju i dawnych ustaw potocznych spraw bartnych z pośrodku bartników uchwalony i wydany“. Autorem traktatu był Stanisław Skrodzki. Wydział postanowił prosić p. Krysińskiego, aby odpis traktatu tego przysłał Akademii celem ogłoszenia go w jej publikacyach.

— Wydział gospodarski III-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich oznaczył termin swego zebrania na drugą połowę lipca, w Krakowie.

— Ze sprawozdania *Towarzystwa biblioteki polskiej* w rumunii za rok 1880 dowiadujemy się, iż ono liczy obecnie 63 członków czynnych, a fundusz żelazny na szkółkę polską wynosił z końcem r. 1880 fr. 6011 c. 83.

— Literackie towarzystwo *Slavia* w Pradze Czeskiej wydało niedawno Almanach na korzyść zagrzebian p. t. *Slavia.* Zbiorowa ta publikacya zawiera artykuły 50 pisarzy i poetów czeskich.

Muzyka. Skrzypek *Tymoteusz Adamowski* bawi obecnie w Bostonie, gdzie koncerta jego wielkiem cieszą się powodzeniem.

Teatr. Znana już z amatorskich przedstawień jednoaktówka Koziebrodzkiego *Stryj przyjechał* wytrzymała dość pomyślnie próbę ogniową na deskach Teatru Rozmaitości. Głównym motywem akcyi jest tu niespodziane przybycie groszodajnego opiekuna, które alarmuje młodego malarza ciągnącego zasiłek z jego szkatuły. Siostrzeniec ukrył przed stryjem, że jest artystą malarzem a potrzebując pieniędzy skłamał, że jest żonatym aby pobierać datki na urządzenie nowego gospodarstwa. W celu ukrycia tego podstępu uprasza znajomą sobie wdówkę, gospodynię domu, w którym mieszkał, aby udała jego żonę. Wysuwa się z tej sytuacyi szereg zabawnych nieporozumień, nader zgrabnie prowadzonych, ale komedya kończy się w sposób banalny, małżeństwem stryja z wdówką skleconem na poczekaniu. Komedya zaczyna się zabawnie i dowcip ugarnirowany jej wieloma zgrabnymi konceptami i odrobiną pieprznych żartów, ale końcowe sceny mocno naciągane psują wrażenie początku, który poparty pełną ruchu i werwy grą pp. Ostrowskiego, Szymanowskiego i Wolskiego, zapewniłby tej drobnostce dłuższą egzystencyę na scenie.

— Pani *Henryka Ładnowska,* artystka teatru lwowskiego, debiutowała kilkakrotnie z małem powodzeniem na scenie warszawskiej.

— Na scenie warszawskiej odbywają się próby z dramatu M. Bałuckiego *Rodzina Dylskich.*

Nekrologia. *Andrzej Rydzowski,* poseł galic. do Rady Państwa, twórca ustawy przeciw lichwie, zmarły w Wiedniu w d. 20 b. m., urodził się 7 listopada 1829 r. w Ciężkowicach nad Białą. Nauki początkowe pobierał w Nowym Sączu i w Tarnowie, na uniwersytet zaś uczęszczał w Krakowie i we Lwowie. Czas jakiś był nauczycielem prywatnym, później urzędnikiem prokuratoryi skarbowej, następnie zaś, jako docent uniwersytetu jagielońskiego, wykładał przez lat pięć prawo narodów i filozofię prawa. Wybrany w r. 1855 do sejmu był odtąd stałym jego członkiem. Od r. 1870 zasiadał w wiedeńskiej Radzie Państwa. Wybitniejszemi przejawami działalności jego parlamentarnej była opracowana przezeń ustawa przeciw lichwie i ustawa hypoteki włościańskiej.

— *Kornel Krzeczunowicz,* poseł galicyjski do Rady Państwa, zmarł nagle we Lwowie w dniu 22 b. m.. Urodził się tamże w 1818 r. Zajmował on w wiedeńskiej Radzie Państwa i sejmie galicyjskim nader wybitne stanowisko a prawym i nieposzlakowanym charakterem zjednał sobie szacunek nawet przeciwników politycznych. Całą niemal działalność swą poświęcił zmarły sprawie opodatkowania gruntowego, śmierć przecięła jednak nić jego życia przedtem, nim sprawa ta ostatecznie rozwiązaną została. Kornel Krzeczunowicz był równie czynnym na polu literackiem i wydał kilka prac ekonomicznych i prawnych.

— Dr. *Emanuel Borzicky,* professor uniwersytetu praskiego, uczony mineralog, urodzony w r. 1839 we wsi Milinie pod Grzibramą. zmarł w Pradze 27 stycznia.

— *Herkules Dembowski* astronom, umarł w Albizate we Włoszech. Od lat 30-tu zajmował on się obserwowaniem gwiazd dr gorzędnych, a w r. 1878 otrzymał za prace w tym kierunku złoty medal od Towarzystwa astronomicznego w Londynie.

Archeologia. W wielkich Ramzach w okolicy Sztumu, w Poznańskiem, znaleziono grobowisko słowiańskie i wydobyć zeń zdołano kilka urn zagadkowych kształtów, jak również szyszak żelazny. Przedmioty złożone być mają w muzeum toruńskiem.

Nr. 2 PRAWDY, który przedrukowywujemy ponownie, abonenci odbiorą przy N-rze 7.

W odpowiedzi na zażalenia donosimy, że PRAWDA wychodzi w sobotę w południe i prenumeratorom miejskim rozsyłaną jest tegoż dnia po południu i następnego.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Января 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**